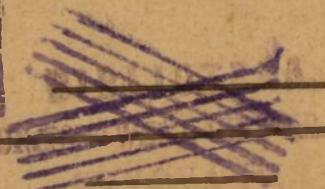


1048

JÓZEF BARTMAŃSKI

Wbbs

Z CIĘŻKICH CZASÓW OBRAZKI WESOŁE



L W Ó W

NAKLAD KSIĘGARNI POLSKIEJ BERNARDA POŁONIECKIEGO

1916

A-19413

BIBLIOTEKA
UMCS



Literat 13a

K. 1160/56/1469

WYKONANO W ZAKŁADZIE DRUKARSKIM „GRAFIA“, LWÓW,
ULICA CHORĄCZYŃNY LICZBA 27. — NUMER TELEFONU 1998.

Mbs

— Halt!

— Aho, psst, aho!

— Halt!

— Ahoo, prrr!

Swawolną czwórkę, czteroletnie kasztanowate kobyłki, po papie łyse, w początkach edukacyi ledwie, na miejscu osadzić nie łatwo.

— Halt, bo strylaju!

— Prr, prrrr!

Dwadzieścia kroków przed mym zaprzęgiem, na środku gościńca, landszturmista z karabinem groźnie do strzału złożonym.

— Halt!

Prrrrr! i srogie szarpnięcie licami opamiętało wreszcie rude moje panienki.

— Chodź pan tu!

Licę chłopcu oddaję, zeskakuję z kozła i podążam ku lufie prowadzony na muszce niby w knieji odyniec idący na sztych.

— Panie weź pan interes do nogi, gotów wypalić.

Landszturmista nie folguje, mierzy mi prosto w nos.

— Halt!

Staję na trzy kroki, a karabin nastawiony z nasadzonym bagnetem stanowi z mym nosem zgodną całość.

A nuż wypali, wojak ze dwadzieścia lat karabinu nie widział, brrr!

— Legitymacya!

— Nie mam.

Wachkommandant!

Z przydrożnej chaty wybiega żołnierz, poznaję z zawodu gajowy mój rodzony, teraz pan kapral landszturmu i komendant warty polnej.

— Proszę o legitymacyę.

— Nie mam.

— Jak pan nie ma to ja pana haresztuję.

Prezentuję się gehorsamst, przypominam łaskawej pamięci pana kaprala, że od lat się znamy, że przed trzema dniami ledwie miałem zaszczyt wypłacić mu pensyę kwartalną, choć do kwartału jeszcze miesiąc brakował i gorąco proszę, by mię puścił do Kamionki, gdzie natychmiast postaram się o legitymacyę..... jeszcze wczoraj nie żądano żadnej, nie wiedziałem, że od dziś..... przecież pan kapral mnie znają i zrobią dla mnie wyjątek.

Zmiętkło serce wojaka, pan kapral puścili.

Mała pociecha, kilometr dalej.

— Halt!

— Prrr!

Ta sama scena, a po dłuższem parlamentowaniu....

— Niech pan jadu.

Kilometr dalej trzecia Scylla i Charybda.

— Halt!

— Prrr!

Cóż u diabła! czyż w ciągu nocy z Kamionki stworzono fortecę?

Wreszcie nie aresztowany i nie uszkodzony dobiełem do Kamionki, naturalnie przedewszystkiem do pana starosty po legitymacyę, potem na pocztę po gazety i na rynek po.... plotki.

Pocztą przychodziła nieregularnie, czasem któreś pismo lwowskie z wiadomością o zwycięstwie pod N., gdzie piętnastu landszturmistów, trzech strażników finansowych i jeden żandarm w puch rozbili cztery tysiące Moskali, czasem numer „Neue freie Presse“ przepelniony opisem okrucieństw przez wojska rosyjskie w Prusach wschodnich popełnianych, a plotki . . . w rozkwicie.

Mieliśmy z żoną dobrą i nieprzymuszoną wolę pozostania na miejscu. Raz kozie śmierć, djabeł nie tak straszny jak go malują, lecz gdy przyszła chwila decydująca, frunęła dusza na ramię, odwaga w piętę i . . . fuga niestety.

Niestety, — bo gdzie siedział właściciel a nawet żyd dzierżawca, choć przeżył niejedną ciężką chwilę, mienie uratował, co prawda na przeciąg dziewięciu miesięcy tylko.

— Właściwie więc nie ma za czem żałować, przeciwnie należało w czas manatki spakować i zemknąć jak tyłu innych. Bilans jednych i drugich akurat ten sam — tabula rasa — tylko tamci oszczędzili sobie rozkoszy przeżycia roku pod knutem moskiewskim.

— Lecz jakże tę duszę nie puścić na ramię — słuchając przez dwa długie tygodnie najpotworniejszych wieści z miejscowości pogranicznych.

— W N. zbombardowali kościół, księdza zabili, — w N. wymordowali rodzinę żyda dzierżawcy, — w N. folwark spalili, właściciela zakłuli, żonę i córkę wywieźli do Rosyi, — w N. wyrznęli Polaków i żydów codzień wieści nowe, codzień potworniejsze.

— Jak Boga kocham! ledwie uciekłem żeby mych dzieci więcej nie ujrzał! — sam widziałem — żeby mnie Pan Bóg na miejscu pokarał! takie i inne zaklęcia na szlagi, cholery, wielkie choroby i podobne

delikatesy, aby przekonać niedowiarków o prawdziwości faktów opowiadanych.

— Daleki huk armat, dymy we dnie, łuny po nocach, setki, tysiące fur uciekinierów płynących falą w kierunku Lwowa, — Neue freie z wiadomościami o okrucieństwach — to wszystko w nadmiar zachęcające do pozostania na miejscu.

— Dlaczego nie zostałeś, — pytał mnie później pewien przyjaciel lwowski, — ja byłbym kolkiem siedział i uratował wszystko, — a przyjaciel jak się pokazało, — dwanaście godzin szturmował dworzec i w mieście pozostał, bo nie zdobył miejsca w pociągu.

— Ze wsi jednak byłby się nie ruszał — no pewnie!

* * *

Zaopatrzony w legitymację z orzełkiem i podpisem pana starosty wracam do domu.

— Halt!

— Jest panie, mam!

— Zatrzymuję konie w należytej odległości i dążę pieszo ku posterunkowi, prowadzony na muszce mała sympatycznej w tych okolicznościach lufy.

— Podaję talizman, żołnierz ku mej rozkoszy bierze karabin do nogi, a legitymację bada drobiazgowo, sylabizując kartę trzymaną nogami w górę z widocznym napięciem władz umysłowych.

— Pan pozwoli! tak będzie praktyczniej — i obracam mu kartę w ręce.

— Ma pan recht, ale to wsio jedno, bo i tak nie znaju czytały.

To doprawdy wsio jedno, pocóż pan jednak tak dręczy moją legitymację?

Befehl!

Skoro Befehl!

I tak stale, mimo że po dwa i trzy razy dziennie jeździłem do Kamionki, placówki wiadomości wszelakich dyplomatycznych i strategicznych, zatrzymywano, badano, oglądano, mimo iż kilkudziesięciu landszturmistów pilnujących dworca, mostu na Bugu i gościńca, ludzie miejscowi i z wsi okolicznych znali mnie bez wyjątku.

* * *

Jadę raz znowu do Kamionki.

Halt! w miejscu gdzie dotąd posterunku nie było.
Prrr!

Rozglądam się, gdzie ten posterunek u licha!

A wo na stercie, powiada chłopak.

Obok gościńca wielka sterta słomy, na niej żołnierz do strzału gotów. Sterta elewatozem złożona, bardzo wysoka, komunikacja z posterunkiem nie łatwa.

Podskakuję jako świerszcz polny, drę się na stertę, lecz daremne moje wysiłki rozpaczliwe.

Czekaj pan, przywiążę na koniec bata.

W ten sposób udało się.

Niech pan jadu.

Pięknie, a widać tam z góry moskali?

Nie!

Chwała Bogu!

* * *

Wyjeżdżam z Kamionki, zbliżam się do dworca.

Alarm!

Gwar, zamieszanie, landszturmiści wypadają z budynków stacyjnych, formują się w szersz gościńca, słowa komendy, chrząst broni ładowanej.

Halt! Halt!

Psiakrew, czyżby Moskale?
 Uciekaj pan! Uciekaj pan!
 Zawracam.

Kobyłki pojmują w mig, że tu nie przelewki, nura dajemy aż miło. Sara w galopie zakłada nogę za pas, Zuzanna zirytowana gryzie sąsiadkę, Ewoe odcina się niesfornej Zuzannie, a Zofia panienska nerwowa, w zaprzęgu galopować nie zwykła, wierzga.

Jakoś to jednak idzie... wio dzieci!

Mijam fury, zawracające jak ja, mijam uciekających piechurów, a dziwne mam uczucie na mym koźle wysokim. Słyszę salwy, choć nikt nie strzela, sypią się kule, niby groch i już mię po karku łaskoczą, choć nie sypią się żadne; chciałbym skurczyć się w coś misternie małego, w atom, w bakterię.

Wpadam do Kamionki, skręt i bezpieczna przystań za domem.

— Co się dzieje?

— Moskale!

— Gdzie?

— Za Bugiem!

Nieprawda — powiada ktoś z tłumu — łapią automobil i opisuje szereko, jako samochodem wiozą Moskale, akurat na Kamionkę siedemdziesiąt milionów w złocie z Paryża do Petersburga, wie to najpewniej, był w urzędzie, gdy przysła depesza.

— No proszę, kto by to myślał!

Jednak z za Bugu Moskale nie nadchodzą, nie nadjeżdża zapowiadziane auto z milionami, mimo to mija godzina, a oddział nie rusza się z miejsca, gotów do strzału.

Nie zdając sobie sprawy co znaczą te groźne manewry i w jakiej mierze wpływają one na przebieg dzia-

łań wojennych, postanawiam kierując się zdrową zasadą — mądrzejszy ustępuje — wycofać się z afery i daleko okrążając dworzec pełną drożyną powrócić do domu.

Już i kobyłki niecierpliwiły się mocno, dawno minęła pora wiktu południowego, a cukier jaki miałem w kieszeni przyjęty został z pewną nonszalancyą, cóż znaczy bowiem odrobina cukru dla pustego żołądka kobyłego.

Biedne kobyłki moje!

W kilka dni później znalazły łaskę w oczach pana generała, czwórkę kazał założyć, zdobycz zkompletował dwoma strzelbami, dwoma siodłami, mem i mej żony, spodobał mu się i pies mój legawy.

— A gdzie bat?

Rzucają się za batem — nie ma.

— Za pięć minut niech mi tu bat będzie, inaczej folwark spalę!

Bat się nie znalazł, folwarku nie spalił, siadł kacapa na kozioł i — jazda w kraje ojczyste.

— Haraszo!

Liczne miałem stado, sto pięćdziesiąt ogonów i nie złe. Bronilem je przed rekwizycją ze strony wojsk austriackich, jak lwica broni swe lwiątko, miałem list żelazny zwalniający me konie od świadczeń wszelkich na rzecz wojska i wojny.

Przyszli Moskale, zabrali wszystko. Matrony poważne w błogosławionym stanie, inne z pociechą u boku, kochających i kochanych mężów, Gerbeauda, młodziana dostojnego rodu, tryumfatora w rozlicznych biegach, gdzie wyższu tysięcy na swej liście zwycięskiej zapisał; Bruce-Lowea, konia i na torze i w chowie dobrze udowodnionego, oba ogiery rządowe pełnej krwi, za grube kupione pieniądze, dwa wierzchowce, cztery konie kupione przez

austryackich oficerów i przez nich już zapłacone; kilkadziesiąt dwu i trzyletnich paniczów i panienek.

Straszne to były sceny, opowiada służba stajenna, tysiące żołdatów, tysiące koni, setka armat, gwar, zamieszanie, płacz drobiazgu co mamy pogubiło, rzenie mam za dziećmi utraconemi, pisk, kwik młodzieży po raz pierwszy siodłanej i zaprzęganej, harce przez rowy i płoty na dwuletnich źrebiętach, nahaje, rany, krew, nogi połamane....

— Haraszo!

— Biedactwa!

A źrebięta roczne zrabowali tak zwani młodszy bracia, sympatyczne chłopcy.

Czcigodny to ludek, Polak, Ukrainiec czy Moskal — to wsio jedno. Żarli się przy wyborach do sejmu, do parlamentu, a bywało ku temu sposobności dosyć, bo wybór każdy odbywał się wielokrotnie, przy wyborach powiatowych i gminnych, gryźli się o język wykładowy w szkole, o etymologię i fonetykę, o to i owo — a rabowali viribus unitis, z wzruszającą solidarnością. W całym mem Tadaniu znalazł się jeden chłop, Ukrainiec, który nie ruszył ani krowy, ani dębu, ani łyżki srebrnej.

Czy byliście w on czas chorzy, pytałem zdumiony.

Nie panie, jestem człowiek uczciwy, swego nie dam, cudzego nie żądam.

Więc imię jego niech będzie pochwalone.

On jednak nie wyjątek jedyny.

Mam drugi majątek ziemski, dziesięć kilometrów odległy Zelechów mały. Zacni tam ludzie, w połowie Polacy, w połowie Rusini, nie tknęli niczego, co więcej ratowali mienie moje wedle sił i możliwości.

W dwa dni po rabunku dokonanym przez Moskali i chłopów z gmin sąsiednich, staje na miejscu.

Schodzą się chłopi.

— Panie mam źrebię pańskie.

— Mam krowę pańską.

— Mam wóz.

— Mam worek pszenicy...

— Oddać to panu zaraz, czy mamy zatrzymać do czasów spokojniejszych, u nas to się może prędzej przechowa.

Nad wszystko zaimponował mi pewien gospodarz Ukrainiec, z którym częste miowałem spory o wzbroniony przejazd przez łąkę moją. Ten uratował mi pyszną trzyletnią klacz, wydzierając ją z rąk żołdatowi, za co raz srogi nahajem otrzymał.

I druga wieś była jeszcze wyjątkiem w powiecie, Pawłów pana Ujejskiego, tam folwarku nie tylko nie zrabowano ale uchroniono przed Moskalami.

W Spasie u brata mego w czasie inwazyi co prawda także dworu nie zniszczono, lecz li dzięki uczciwości oficera rosyjskiego i dzielności zarządcy majątku, bo wieś z płachtami, kosztami czekała pod dworem na chwilę dogodną, a rządca górętszych pałąk przepędzał.

Pozatem rabowało chłopstwo co było, dywany, matki, meble, zegary, obrazy, rzeźby, srebra, szkło, porcelanę, pościel, garderobę, książki, narzędzia rolnicze, drzwi, okna, podłogi z domów, parkany, szczepy ze sadu, zboże ze spichlerza, słomę ze stert, keniczynę z zasieków, kartofle z pola, drzewo z lasu, inwentarze żywe, o ile tychże Moskale nie wzięli. Nie było przedmiotu godnego wzdargy, bo co nie przyda się na własnych śmieciach, to kupi żyd,

a czego nie zabrali to łamali, tłukli, niszczyli przy łaskawej pomocy i współdziałaniu uprzejmem carskich sałatów.

Czort jego bery z takim wynom! i flaszka starego Jonannisbergera, starego d' Yquema leciała o ścianę, bo to i kwaśne i gorzkie i słodkie zarazem, specyał niegodny chłopskiego podniebienia — wódki, likiery to lipszi, to duże fajne.

Czort jeha z takim landszaftom! i rżnie bydle w kawały przecudny pastel Aksentowicza — dziewczyna z dzbanem — jedno z najpiękniejszych dzieł mistrza, za którem do zgonu lamentować będę, i drze na szczątki obrazy Kossaka, Wyczółkowskiego, Fałata, Popiela, Wodzinowskiego, Wygrzywalskiego, Rozwadowskiego, Rejchana, Augustynowicza, Batowskiego, i wielu innych, które w przebiegu lat zebrałem.

Barbarzyńcy!

Szał opanował chłopstwo.

„Sto lat my na to czekali, teper to wsio nasze i lisy i pola i pasowyska, szcze treba panów rizaty, folwarki pałyty“, odezwał się do mnie poczciwy kmiotek, gdym nadaremnie usiłował powstrzymać go w rąbaniu dębczaka w mym lesie.

I zaprawdę, gdyby ułamek wieści o okrucieństwach wojsk rosyjskich choć w części na prawdzie polegał, nie ulega wątpliwości, najdrobniejsza inicjatywa, zachęta, podnieta, przykład ze strony żołdatów, a nie ostałby się w Galicyi wschodniej jeden „pan“.

A w Galicyi zachodniej?

Nie wiem, ale słyshałem, że tam pono mają tradycye.

Dalby Pan Bóg taką wojnę choć co trzy lata, częściej nie trzeba, bo nie byłoby szczo rabowaty, a jeden

zał tylko uciskał ich serce gołębie, że pańskie konie i bydło wojsko zabrało.

O! to dużo wetyka krywda — i zapewniam jedyna to krzywda, którą chłopi w mych stronach przy wkroczeniu Moskali ponieśli.

Egipskie miał chłop urodzaje w tym roku wojennym. Dwa morgi pola, łąki i grusza dzika na obejściu, a na targ woził dwadzieścia wozów przenicy, dwadzieścia żyta, dwa żrebce szlachetne, sprzedał tuzin łyżek srebrnych, dziesięć sągów dębowych, kandelaber i klawiaturę z fortepianu.

Z wiosną zaś, dostał konie i zboże, ten biedny ludek krzywdzony.

Że ten lub ów z wojny nie wróci — trudno, to dopust Boży — trochę płaczu i słodka pociecha w godzinie należycie wykarmionej na zrabowanej koniczynie, w prosięciu utuczonym pulchniutko grysem skradzionym. Byle bez nogi nie wrócił! — bo trzeba będzie jedną gębę żywić za darmo.

* * *

Raz w listopadzie wracamy z żoną ze Lwowa powozem, raczej by nie grać hochsztaplera i trzymać się prawdy, odwieczną przez Moskali wzgardzoną, odartą dryndą, której dzieje nikną w mrokach przeszłości, i gdzieś koło południa spotykamy po drodze tłumy narodu. W tłumie poznajemy liczną rzeszę mieszkańców Tadania.

Uprzejme ukłony z ich strony, nie mniej szarmanckie z naszej.

— To wy ze Lwowa?

— Tak obywatele.

Tytułowany w owych czasach przez „wy“, w zamian chłopów tytułowałem „obywatelu“.

Czy prawda we Lwowie wolno trzy dni rabować?
 Wolno, lecz spieszcie się obywatele, dziś dzień ostatni,
 do dziewiątej wieczór tylko — czas pietrogradzki —
 huknąłem za nimi.

Pognali.

Gdy wrócili, nosili się z żalobą, że didie ludy durył.
 Serdeczna zacna naiwność za serce chwyta, a jaka
 to praca w owoce błoga księży, kościołów, cerkwi, szkół,
 towarzystw oświatowych, rolniczych, czytelní, wykładów,
 ludowców od nafty, cyrkla i z palestry.

Rozczulające!

* * *

— Powiada mi jakiś zakamieniarty chłopoman z pokręconym mózgiem, taki, który zna chłopą z widzenia.

— To wasza wina.

— No proszę!

— Nie dbacie o oświatę.

— W każdej gminie szkoła.

— Za mało!

— U mnie dwie, polska i ruska.

— Za mało!

— W każdej gminie czytelnia.

— Za mało.

— U mnie trzy, polska, ukraińska, moskalofilska.

— Za mało!

— Puść się pan na ministra oświaty i rznij pan
 wszechnicę w każdym siole.

— Nie trzeba!

— Więc co trzeba?

— Nie trzeba gniesć chłopą i dusić!

— No proszę!

Nie trza siać wiatru, nie zbierze się burzy!

— Mój panie! mam dwa majątki ziemskie, w drugim nie wyrządziła mi ludność miejscowa żadnej krzywdy, wręcz przeciwnie ratowali jak mogli; gdybym jakowe wiatry wypuszczał, wysiewałbym je i tu i tam, i zbierałbym te same plony i tu i tam. — Cóż pan na to?

— Za mało łączności między gminą i dworem!

— Panie! — stary frazes, — brzmi zawsze pięknie i widocznie jeszcze nie zużyty, — może najlepiej niech pan kupi majątek ziemski, potem może się pan łączyć dowoli.

— Urwałem dysputę i pożegnałem się co prędzej, bo ciężko dysputować z uprzedzeniami.

— Nie mamy na sumieniu żadnych krzywd chłopskich, nikt z nas chłopca nie gniecie i nie dusi, przeciwnie — robiło się dużo dobrego, — niestety za chleb kamieniem nas obrzucają. — Nie szukać przyczyny w braku oświaty, w duszeniu i w gnienieniu, w braku łączności — ale — w lisach, w polach i pasowyskach, a na to nie ma remedium.

— Jeden ma morgów tysiąc, drugi pięć; jeden ma krocie dochodów, drugi głodem przymiera; tak było, jest i będzie — i żadna teoria socjalistyczna zmian stałych przynieść nie może. Niechbym me morgi równo między chłopów podzielił, a za lat kilkanaście równość staje jak śnieg kwietniowy, ten swoje morgi przepije, tamten pomnoży, niebawem Hryć posiadzie morgów tysiąc i obszar dworski, a Fedko zejdzie do kija żebraczego i znów — po łączności.

— Chyba co parę tygodni równości wyczyniać — i to myśl.

— A wdzięczny chłop bywa!

— Był chłopak przy stadzie bez butów i czapki, w przebiegu lat rósł w pierze obficie i wyrósł na koniuzszego.

— Zawdzięczał mi wiele.

— Poszedł na wojnę.

— Słomiana wdowa, dawniej dziewoja do krów i świnek, teraz już dama w aksamity, jedwabie, barany astrańskie i w kapelusze strojna — jakich świat i korona polska szalała.

— Dwadzieścia lat mój mąż wiernie we dworze służy, a lat dwanaście ze darmo, nie dał ni zboża, ni grosza — to czort!

— Ludy ratujcie krzywdzoną sierotę!

— Słuchali żołdacy żalów sieroty i pomagali w zniesieniu garderoby mej żony i łyżek srebrnych; słuchał komendant lamentów krzywdzonej i biadał, jak nieludzko krzywdzi pamieszczyk swą wierną służbę.

— a kanalia z niczego, li z krzywdy, i dom nabyła i grunt kupiła i kapelusze nosiła — jakich świat i korona polska, i znaczną sumę rozpożyczyła chłopom na lichwę.

* * *

— Parobek poszedł na wojnę, została baba z czworgiem drobnych dzieci.

— Głód, bieda ratować należy wbrew zdrowemu rozsądkowi, bo rabowała z innymi, a furę zrabowanych, zniszczonych rzeczy z jej pomieszkania wywoziołem.

— Daję przez zimę dwa cetnary zboża, opał, litrę mleka dziennie i czterdzieści koron w gotówce.

— Wiosna.

— Słuchajcie kobiety! mieszkanie wasze koniecznie mi potrzebne dla stajennego, przeprowadźcie się do tamtego domu mego, pięćdziesiąt kroków dalej, mieszkanie akurat jak wasze, wam to obojętne, dla mnie będzie wygoda.

— Nie.

— Dlaczego?

— Ta tyle rzeczy!

— A w izbie łóżko, stół, kołyska, dwa stołki, skrzynka z odzieżą, w kącie podarty romans francuski i resztką cennej akwaforty.

— Proszę, tłumaczę.

— Nie.

— Ażebyś pękła!

— Wołam parobka. — Zabieraj rzeczy i przenieś do tamtego domu.

— Czekajcie! wy mnie rabujecie, ja was nauczę — i poleciało babsko do naczelnika.

— Jakiś kwit mi przyniosła, który do kosza wrzuciłem.

* * *

— To dwa przykłady z wielu.

* * *

— W Kamionce przed budynkiem starostwa liczne zgromadzenie.

— Strzelają!

— Gdzie?

— Na Zabuzu!

— I wyraźnie słyhać łomot karabinu maszynowego

— Tam most na Bugu, forsują przejście.

— Jedźmy zobaczyć — zwraca się do mnie pan W. emerytowany major ułanów, właściciel Kamionki.

— Proszę pana — i wskazuje mi miejsce w swym powozie.

— Panie majorze przyjadę później — teraz mam pilny interes w starostwie, w sprawie . . . licencyi ogiera.

— A pan, panie doktorze?

— To mój obowiązek, będą ranni, gdy kule gwizdzą i fizyk z majorem odjeżdżają.

— Niepewność jutra . . . wśród pozostałych.

Wstyd mi okazanego braku męstwa dosiadłem Koka, poczciwego wierzchowca mego i odważnie z duszą na ramieniu, podążam za powozem.

W mieście alarm, na moście alarm, na nim nieliczna straż wojskowa zaferowana.

Strzałów nie słychać więcej.

— Gdzie to strzelali?

— Tam... i wskazują żołnierze kierunek skąd przyjechaliśmy właśnie.

Wracamy.

Rzecz się wyjaśnia, toczyli żydzi wielką beczkę rozklepaną po dziurawym gościńcu, a klepki rozluźnione o kamień tłukac imitowały dziwnie karabin maszynowy.

Kto nie wierzy, raczy spróbować.

Po panice pod dworcem był to drugi alarm wojenny,

* * *

Przez Kamionkę wiozą aresztantów.

Sześć pełnych fur pod konwojem żandarmów.

Chłopi, ksiądz siwowłósy, kleryk.

Za furami paupry żydowskie z piskiem i gwizdem.

— Na pohybel Lachom, Lachy sobaki! — z bezczelną, drwiącą miną wykrzykuje kleryk z za bagnatów żandarmskich.

— A ty psiakrew na szubienicę — brzmiała odruchowo odpowiedź moja.

Zrobiłem głupstwo, należało poczęstować karmelkiem. Z kropli wody morze stworzono.

Oszczercze donosy, jakoby byłem zawodowym pogromcą księży moskalofilskich, rozwaląłem głowy, łamałem kości, wypuszczałem jelita, płałem i hańbiłem nieszczęsne ofiary, jako wskazywałem kogo aresztować, wywieźć. Więc śledztwa, przesłuchania, protokoły, niepewność jutra, wielce denerwująca przez długie miesiące zimowe.

— Wże zautra budut pana wieszaty... — i wieś w komplecie goni do Kamionki przyjrzeć się upragnionej egzekucyi, bo jak powieszają, kombinuje misternie mózgownica chamska, i pola i lisy i pasowyska — to wsio nasze.

* * *

Służyła we dworze dwóch braci, dziad przybył z Mazurów, wnucy najzagorzalsi Rusini we wsi moskiewskiego autoramentu.

Draby, nieroby a przy rabunku dworu mego szczególnie... wierni, pilni, pracowici.

Z wiosną organizując w części gospodarstwo, braci do służby nie przyjąłem.

Zgłasza się pani matka.

— Dlaczego nie chcecie przyjąć mych synów do obowiązku?

— Bo mi się tak podoba, obywatelko.

— Tak się wam podoba! czekajcie już ja was tam obsmaruję, ja tam nagadam co wy „z naszymi“ robili.

* * *

Chłop żąda fury drzewa w prezencie, choć dziesięć już porzednio ukradł i sprzedał.

Odmawiam.

— Dajcie, bo źle będzie z wami — a uśmiech złośliwy chytrą gębę wykręca, aż dłoń świerzbi by — lunąć.

* * *

Cytowali, słuchali, pisali, grozili, snać jednak i tam spostrzeżono „wo liegt der Hund begraben“ i wreszcie dali mi spokój.

* * *

Emabluję raz moje kobyłki na pastwisku.

Tłum żydów goni z Kamionki.

— Wus ist?

— Wun?

— Wo ist wun?

— W Kamionce, rżnie, pali!

Nadjeżdża chłop, zatrzymany informuje mnie, że wpadło do Kamionki kilkadziesiąt podwód gdzieś pod Radziechowem szrapnelem sponżonych, a kilku huzarów z konwoju z przyczyn nieznanych w Kamionce na rynku z karabinów paliło.

Stąd popłoch i trzeci alarm wojenny.

* * *

Byłem prezesem powiatowej organizacyi narodowej, więc już z tego urzędu przypadła mi w dziale współpraca w organizacyi ochotników.

Pytałem siebie, pytałem innych, w jakim to celu właściwie.

Zakrzyczano mnie.

— Ja idę.

— Ty idziesz.

— On idzie.

— My idziemy.

— Wy idziecie.

— Idą wszyscy! i oddział tworzymy z zastrzeżeniem, że wyruszy wówczas dopiero, gdy wypowie się Koło polskie.

Wychodzi manifest.

— Do broni!

— Ja idę.

— Ty idziesz.

— On idzie.

— Idziemy wszyscy! — a do asenterunku staje kilkunastu chuderlawych młodzianów, w tem gronie żyd jeden i pewien mieszczanin kamionecki, zwyż sześćdziesiąt lat liczący.

— Panie, czuje się pan na siłach — pyta nasz doktor.

— Na moskala choćbym setkę lat liczył!

Zresztą z nas wszystkich nikt się nie stawia.

To zapewne tak w Kamionce tylko.

Wierny poddany Koła polskiego, przed laty dwudziestu pięciu „podporucznik“ czwartego pułku ułanów, jadę do Lwowa, by się wpisać w poczet konnego oddziału Sokoła.

Pociąg chadzał do Lwowa raz na dobę, z Kamionki wyjeżdżał w porze najdogodniejszej, bo o pierwszej w nocy, liczył ilość podwójną wagonów osobowych, jak w normalnych czasach, i tem się odznaczał, że bywał stale

najdokładniej pusty. Ludzie jeździli furkami, chadzali pieszo, a pociąg maszynistę i konduktorów po spacerach wodził.

Łatwiej było w owych czasach o główną na klasowej, jak o miejsce w pustym pociągu. Poszczęściło mi się jednak, przepustkę dostałem.

Mam cztery kilometry do dworca i dobrą murowaną drogę, że jednak noc ciemna. deszcz leje, liczę się z możliwymi niespodziankami w drodze, i wyjeżdżam dostatecznie wcześniej, by zdążyć na pierwszą, bo już po dziewiątej wieczór.

— Jedź noga za nogą, trzymaj uszy otwarte, by nie postrzelono nas w drodze.

— Jedziemy ostrożnie, stępo.

— Halt!

— Prrr!

Wysiadanie, odczytywanie przepustek przy mdłym świetle latarni powozowej — dokąd po nocy — niezliczoną ilość razy.

— Ktoś do powozu wskakuje, a lufą rewolweru zabłyśka przed oczami memi.

— Halt!

— Prrr! niesłychanie energiczne.

— Aussteigen!

— Wysiadam.

— To pan! sekunda jeszcze, a byłbym panu w łeb strzelił, czemuż pan nie staje, gdy trzykrotnie halt wołałem?

— Panie poruczniku, turkut powozu, plusk deszczu, nie słyszałem.

— Biedny porucznik w dzień później w tem samym niemal miejscu poległ śmiercią bohaterską, broniąc Ka-

mionki na czele swej garstki walecznej przeciw brygadzie Kozaków.

I myśl się nasuwa, czy doprawdy dużo bywało przesady w opisach pierwszych utarczek granicznych.

— W Kamionce w istocie setka landszturmistów odparła dwa tysiące Moskali, zadając im ciężkie straty, ranego generała biorąc w niewolę.

* * *

— We Lwowie podążam na ulicę Romanowicza, gdzie jak w gazetach czytałem zgłosić się należało.

— Dowiaduję się po dłuższem czekaniu — to nie tu, idź pan na ulicę Senatorską.

— Idę na Senatorską.

— To nie tu, idź pan do Sokoła na Łyczaków.

— Walę na Łyczaków.

— Na placu przed ujeżdżalnią musztruje się oddział pieszy.

— Przepraszam — do kogo mam się zwrócić w sprawie oddziału konnego?

— Proszę udać się do stróża, po drugiej stronie domu.

— Idę do stróża — tylko pani w domu.

— Czy to łaskawa pani wpisuje ochotników do oddziału konnego Sokoła?

— Niech pan idzie na Trzeciego Maja, do biura Sokołowskiego.

— Wreszcie trafiam w sedno.

— Ile dotąd zgłoszeń do oddziału konnego?

— Trzydzieści jeden.

— Tysiący — pytam.

— Ochotników.

- Dziwnie mi nieco — po manifeście Koła!
- Przyznam się szczerze, — odleciała mnie wszelka ochota na trzydziestego drugiego.
- Sprawa kończy się świadectwem na piśmie, iż do służby w polu nie zdalny jestem i na poleceniu organizacji w powiecie.
- Ofiarowuję kilka koni ze stada, ofiara wdzięcznie przyjęta, lecz Sokola uprzedzili Moskale, konie poszły Przemysł zdobywać, zaś oddział konny, o ile wiem w domu pozostał.
- Wieczorem staję w Kamionce z powrotem.
- Złe wiadomości — w tajemnicy mówi mi naczelnik stacyi, za dwie godziny puszcza ostatni pociąg, dla państwa znajdzie się miejsce.
- Dziękuję za dobrą wolę i uprzejmość, ale korzystać nie będziemy, bo zostajemy w domu po pierwsze, po drugie ze Lwowa przywożę wieści najlepsze, ofenzywa na całej linii, ino patrzeć kiedy pod Kijowem staniemy.
- Noc mija spokojnie.
- Przed czwartą rano do mej sypialni wpada słujący.
- Proszę pana — Moskale!
- Hm?
- Moskale!
- Bajesz.... ofenzywa na całej linii....
- Jak Boga kocham... koło gorzelni!
- Proszę posłuchać — otwiera okno, a z powiewem powietrza wlatują odgłosy gęstej strzelaniny.
- Służący flegmatycznie, jak gdyby nigdy nic, zabiera ubranie, trzewiki.
- Daj spokój! po wojnie wyczyścisz.
- Budź panią.

— Zdaje się nigdy w życiu nie ukończyłem pospiesznej porannej toalety.

— Przez ogród biegnę na gościniec.

— Wieś cała w popłochu, ucieka co żyje, pieszo, na wozach, z dobytkiem, z gratami, obok mnie przelatuje galopem fura jedna, druga, trzecia, dziesiąta.

— W lasy ucieka co żyje.

Podbiegam za róg ogrodu, by spojrzeć w kierunku Kamionki, skąd dolatują strzały.

— Może to nasi z tej strony!

— Niestety — to oni.

— Obok gorzelni pół kilometra odległej, drze się karabin maszynowy, poznaję mundury rosyjskie.

— Kilometr dalej kilkuset ludzi gęśiego biegnie przez pola, niemniej liczny oddział widzę skryty za stertą, gdzieś w lewo trzeszczy drugi karabin maszynowy.

— Nadbiega parobek.

— Panie! to wszystko Moskale!

— Nadbiega żona, niewiasta i w takiej chwili swoje wyguzdrać musi, wreszcie gotowa.

— No co?

— No nic!

— Ucieka wszystko!

— Ucieka!

— A my?

— Świsnęła kula.

— Uciekamy także!

— Gonimy do stajni.

— Zaprzągaj!

— Rozbiegli się, nie ma żywej duszy.

— Jedziemy wierzchem, prędzej będzie.

— Galopem siodłamy konie, siadamy, jazda....

- A Maja!
- Oddaję Loka żonie i pędzę po nią na pastwisko.
- Chodź Majo!
- Ky, ky, ky! co znaczy — jak się masz, daj cukru.
- Masz, ale chodź, uciekamy.
- Kochane stworzenie bez uzdy idzie za mną.
- Prędzej Majo!
- Biegniemy.
- Za nami drobiazg goni galopem, mamy zdążając z godnością.

- Postyszały głos mój.
- Ky, ky, ky! niski alt kobył.
- Hi, hi, hi! wysoki dyskant dzieci.
- Pieszczone te moje konie, jak nigdzie w świecie, tak iż skarżyli się goście, że stada na pastwisku wcale oglądać nie można, bo czereda zbiega się w rudel, kołem otacza, ustąpić nie chce, a nie odpędzi i batem.
- A Maja była koroną.

Prześlicza ciemno gniada klacz, zbudowana pysznie, o małej główce, z bystrym błyszczącym okiem, z strzyżąciami uszkami, a mądra — niczem ów słynny Hans z pod Hamburga.

O Hansie pisano broszury, sam Maeterlinck nawet fejletony puszczał w którymś z paryskich dzienników. Hans znał się na sztuce czytania, pisania, stawiał pytania, dawał odpowiedzi, umiał mnożyć, dodawać, dzielić, odciągać; znał się na wyciąganiu pierwiastków i Bóg wie na czem jeszcze, to wszystko przy pomocy tablic z wyrzniętymi na nich literami i cyframi, na które w miarę potrzeby kopytem wskazywał. Maja co prawda mniej była od Hansa uczoną, mam jednak tę pewność, że gdybym wiedział jak brać się do rzeczy, byłaby Maja nietylko pi-

sała, ale nauczyła by się — stenografować; znałaby się nietylko na czterech działaniach, ale w mig by pojęła co to — logarytmy, sinusy, cosinusy i jak tam inaczej zwią się takie apokaleptyczne stworzenia.

Nie mając metra znała się Maja na sztukach więcej domorosłych, przyswajając je sobie z łatwością fenomenalną i umiała sztuk wiele.

Apetytem cieszyła się Maja niezwykłym. Ky, ky, ky! daj owies, daj siano, daj cukier, i dawałem, dawali, bo nie odmawia się niczego tak lubej kobyłce.

Wyglądała też Maja jak gałka, a gdy była w stanie odmiennym, jej peryferya bywała skandaliczną. Broń Boże jednak wspomnieć jej o tem, gdy drocząc mówiłem — Majo! ty stara, tłusta babo — Maja wpadała w gniew srogi i gryzła i biła, ma się wiedzieć żartem.

Zwłaszcza okrągła bywała Maja w zimie, gdy boks jej stał zawsze otworem, a mając przepustkę, mit offener Ordre chadzała Maja gdzie chciała. Wyjadłszy swe własne zapasy i uszczknąwszy sąsiadkom ile się dało, przebywała Maja najczęściej pod drzwiami komory, w której owies przechowywano, przy każdej nadarzającej się sposobności wpychając się tam par force, i nie wychodziła z próżnymi rękami, raczej buzią, bo znała się na rekwizycyi.

Raz tylko ze zgryzoty schudziła mi się Maja, gdyśmy stracili synka pierworodnego. Pochowaliśmy dziecię w ogrodzie i sadziliśmy kwiaty na grobie jego.

Potem Maję pobłogosławiły nieba jeszcze kilkorgiem potomstwa i wyszło wszystko na ludzi, a zmarnowała nam się jedna dziewczyna tylko. Zrobiliśmy krzyżyk nad nią i nie mówiliśmy o niej więcej, bo panna do oficera poszła — na utrzymanie.

Szczęścia nie miała Maja w małżeństwie, mężów zmieniała jak rękawiczki, miała ich sześciu. Z ostatnim kochali się jak dwa białe gołąbki, cóż kiedy fatum nie-szczęsne zerwało stadło szczęśliwe, on poszedł w jasyr moskiewski, porwali i biedną Maję.

Biedactwo! pieśczone od urodzenia na stare lata gdzieś w wózku żydowskim, okaleczała, batem smagana, głód cierpi i poniewierkę.

Szukałem potem Maję po świecie i byłem już na jej tropie, miał ją chłop, z boju ranną, w powiecie cie-szanowskim, niestety nie zasiać a zejdzie żyd... kupił... przepadła.

* * *

Dosiadamy wierzchowców, Maję biorę na rękę i jazda galopem. Las mijamy, za lasem na wzgórzu kłęby dymu widać za nami, niezawodnie już folwark się pali. Bywaj mi zdrów mój śledziu holenderski!

Nie spalono jednak wówczas folwarku, gorzało gdzieś dalej.

Stajemy w Żelechowie.

I tu słyhać strzały dalekie, a wieść już dobiegła, iż biją się w Tadaniu.

Ludność przerażona, mężczyźni biegają bezradni, kobiety płaczące klęczą na drodze, wznoszą rękę ku niebu z gestem rozpaczny — Matko częstochowska ratuj!

Zbiegają się do nas.

— Co robić?

Tyle nas we wsi Polaków, wymordują wszystkich!

Na myśl mi przychodzą wszelkie okropności w Kamionce słyszane — żydów wymordowali, Polaków.

Nie chcę radzić i nie mogę.

* * *

Założono do wozu, siadamy.

Ratujcie Maję, gdybyście mieli uciekać, nieposkąpię grosza.

Przekleństwo! do dziś mię gnębią wyrzuty sumienia, zem jej nie wziął ze sobą, bo byłbym we Lwowie ocalał może.

Ratowali biedaczkę, bo i wieś tam pocziwa i służba uczciwa, jak mogli, stajenny chyłkiem prowadził ze stajni spostrzegł chłop z trenu i zdradził.

* * *

Na odjezdnem polecam służbie, by gdy możliwe to tylko będzie, gdy Moskali z Tadania przepędzą, stado całe stamtąd do Żelechowa zabrali.

Jedziemy w towarzystwie co raz liczniejszym, bo, w ślad za nami zdążyły rozliczne fury uciekinierów i koło południa stajemy w Zadwórzcu.

Zatrzymuje nas żandarm.

— Co to jest?

— Ucieczka przed Moskalami, panie wachmistrzu.

— Aresztuję pana, pan popłoch rozsiewa.

— Więc mam się dać zarznąć!

— Sam pan widział Moskali?

— Na własne oczy, przysięgam.

Rozpowiadam szczegóły.

Żandarm zaalarmował swych kilku landszturmistów, nas puścił żegnając z fantazyą, kto by tam bał się Moskali, niech tylko przyjdą!

* * *

Za Zadwórzem wyjeżdżamy na wzgórze, skąd wokół rozciąga się widok szerszy jak z kopca we Lwowie, gdzie spojrzeć w półkolu, od zachodu w kierunku na Żółtkiew, gdzieś w dal na wschód, na Złoczów, Gologóry, kłęby dymu ścielą się czarno.

Wojna!

A słońce księżycem zakryte, na ten dzień właśnie przypadło zaćmienie, w półzłotych cieniach kryjąc widnokrąg szeroki żałobny, ponury koloryt stwarzało,

Coś z dekoracji teatralnej, z panoramy Styki.

Dziwnego doznawałem wrażenia, było mi, było nam, nie dobioreń dogodniejszej nomenklatury — niestetychanie głupio.

Nie wielkie to jednak były pożary.

Chata samotnie stojąca, budka kolejowa, stodoła odosobniona, stożek siana na łące, buchnęły kłęby dymu i resztki po półgodzinie już wiatr rozwiewał, tylko na wschodzie szalał w dali pożar wielki.

Te drobne, gęste ognie to najpewniej sygnały optyczne przez zdradzieckich chłopów ku pożytkowi Moskali kładzione.

W Tadaniu w ciągu bitwy patrol przytrzymał parobka dworskiego przy wielkim ognisku na polu.

Chłop tłumaczył się, że piecze kartofle.

Rozrzucano ognisko, nie było jednego kartofla.

Chłop z biedy próbował się ratować inaczej — on grzeje się przy ogniu (w upalny dzień sierpniowy).

Zabrano gągatkę.

Może nie było drzewa w pobliżu, bo nacóż ceregiele!

Mijamy Winniki; las, fort, warty.

Zatrzymują, wypytują.

Ręczyć muszę słowem honoru, że Moskale są pod Kamionką.

— A my tu o tem nic nie wiemy.

Zrobili miny w tym samym stylu jak ja przed godziną przy słońca zaćmieniu.

* * *

Po Lwowie w dniu następnym obiegają pogłoski o wielkich zwycięstwach pod Kamionką, pod Turynką, Moskale rozbici, jeńcy, trofea, generał zabity, generał ranny. Za dwadzieścia cztery godzin nie będzie wroga na naszej ziemi, pogoda piękna.

Mnie wciąż myśli gnębią, co tam z klaczami memi, czy zabrano je do Żelechowa.

Konie, którymi przyjechałem wzięto na podwodę idę zatem do fiakra.

— Co fiakr żąda za jazdę do Kamionki?

— Nie pojedę i za tysiące.

— Dlaczego?

— Biją się.

— Nie czytaliście? Wyciągam gazetę, wskazuję — za dwadzieścia cztery godzin... pogoda piękna, choć co prawda już deszcz padał w tej chwili.

— Panie nie pojedę, mnie życie drogie.

Obiegam wszystkie fiakry na Karola Ludwika, nie znajdując amatora.

Po południu ulicą Hetmańską jeńców prowadzą, pierwsi jeńcy wojenni, wiozą dwa zdobyte karabiny maszynowe, kilka kuchen polowych.

Biegnę do fiakra.

— Widzicie ?

— Widzę.

— Czytaliście — za dwadzieścia cztery godzin...

— Czytałem.

— Pojedźcie do Kamionki?

— Dobrze, jutro rano.

Umawiam wynagrodzenie, porę odjazdu, wręczam zadek.

Nazajutrz o świcie wyjeżdżamy.

Już na przedmieściu żółkiewskiem ulice trenami zawalone, czem dalej w las tem więcej fur, gościniec zajęty często trzema rzędami wozów, niesłychanie trudno przycisnąć się, nikt o centymeter z drogi ustąpić nie chce, z konieczności częste i długie przystanki, posuwamy się krokiem żółwia,

Koło drugiej dobijamy do Żółtaniec, miejscowości dwadzieścia kilometrów ze Lwowa odległej, połowa drogi do Kamionki.

Mijamy Żółtańce zostawiając wreszcie treny za sobą.

Po dwu kilometrach spostrzegamy nowe, ale — czy nas oczy nie mylą — jadą ku nam, w kierunku Lwowa.

Cofające się treny, czy to aby oznaka zwycięstwa?

Dalej spotykamy szwadron huzarów.

Wstrzymuję rotmistrza.

— Co się dzieje panie rotmistrzu?

Wracamy z pod Włodzimierza, nas garstka, brygada konnicy, batalion piechoty, a wali na nas sześćdziesiąt tysięcy Moskali.

— A Moskale daleko?

— Tuż za Kamionką.

Huk armat zwiastował o tem.

— Czy mógłbym do Tadania zajechać?

Rotmistrz dobył mapę — wskazałem.

— Nie radzę, tam bitwa.

— Muszę koniecznie choć na chwilę, mam stado, zostawiłem bez opieki.

— Ja, wollen sie gehängt werden?

— Zawracaj — ryknąłem do fiakra.

Jedziemy z powrotem ku Żółtańcom.

W drodze refleksya, klacze poginą z pragnienia.

— Możebyśmy przecież jechali — zwracam się do żony.

Probujemy.

— Fiakr nawracajcie!

— Dziwny fiakier, nawraca bez opozycji i znowu drynda toczy się z nami truchtem ku Kamionce.

— Wnet spotykamy fury pełne landszturmistów, dzielną załogę kamionecką, która przedwczoraj pogromiła Kozaków.

— A to co?

— Cofamy się do Lwowa, za godzinę będą Moskale w Kamionce.

— A nasze wojska?

— Cofają się, garstka, Moskale cisną.

— Fiakr zawracajcie!

W niespełną godzinę stajemy z powrotem w Żółtańcach.

Ponowna refleksya — konie bez wody!

— Może omijając Kamionkę, spróbujemy przez lasy dostać się do domu?

— Probujemy.

— Fiakier zawracajcie!

— Przedziwny fiakier nawraca, nie zaklął nawet.

Skręcamy na polną drożynę, wjeżdżamy potem w lasy, droga niech Opatrzność broni, błota, wyboje, ta-lasy, konie od rana nie karmione, nie pojone ustają, drynda trzeszcze jak okręt na lodowcu podbiegunowym.

A fiaker cudowny ani mrugnie, jeśli mnie pamięć nie myli był to numer 143.

Niejednokrotnie z woźnicą powóz z błota wyciągamy, pakując się w nie po kolana.

W lesie wre życie, całe wsie tu się rozkwatowały.

— Co się dzieje w Tadaniu?

— Biją się wzdłuż Bugu.

O zmroku stajemy na kraju lasu, u wrót mej leśniczówki opustoszałej.

Ku wsi zerkamy.

We wsi pożar, za wsią słaba pukanina.

— Co będzie, to będzie — jedźmy!

Na folwarku nie ma duszy żywej, stajnie stadne i pastwiska puste.

Zaglądamy do domu! zamknięty, w porządku wszystko.

Zaglądam do krowiarni.

Bydło trzy dni nie karmione, nie pojone, ryczy w niebogłoty.

Wreszcie natrafiam na żywą duszę, z pod żłobu wyłazi stary, poczciwy żyd, od lat czterdziestu pachciarz mleka na miejscu.

— Wus ist?

— Nieszczęsny! prosy pana dżydżyca, krowy trzy dni nie dojrane — (co kogo boli).

— A gdzie moje konie?

— Zabrali do Żelechowa.

— Chwała Bogu!

Pomagam pachciarzowi pospuszczać krowy i wygnać na pastwisko, fiakier tymczasem konie swe karmi, a karabiny nuca pieśń śmiercionośną.

Nadjeżdża patrol dragonów pod komendą oficera.

— Co słyhać panie poruczniku?

— Nic dobrego, musimy się cofać, a państwo?

— I my się cofniemy.

Fiakier zajężdża, siadamy, jedziemy — na Jaryczów, by nie wkląbić się w treny.

Koło północy przed Jaryczowem zatrzymuje nas warta polna i puszcza bez wielkich ceregieli, z Jaryczowa wypuścić nas niechcą, każą czekać do rana.

O świcie ruszamy.

Droga jaryczowska wpada do gościńca Lwów-Kamionka; gdzie spojrzeć na rzeczonym gościńcu wojska maszerują pospiesznie w kierunku Kamionki, szczególnie pilno artyleryji, która galopuje wolną stroną gościńca. Widok prześliczny, lecz nie wzbudza zaufania, kto tam wie, może na pozycyę wyjeżdża.

— Jazda mości fiakier!

* * *

— Będą bronić!

— Nie będą!

— Będą! ostatnia wiadomość — powiadam kuzynowi, c. k. staroście.

— A gdzie kler!

— ?

— Gdzie księża biskupi!

— ?

— Powinni wpłynąć na komendę armji, by Lwów bez strzału oddano.

Ślepy traf zdarzył, iż w tej właśnie chwili przeszli obok nas dwaj księża Bernardyni.

Chwytam kuzyna za ramię.

— Patrz — idą!

— Kto idzie?

— Bernardyni w deputacyi do komenderującego.

Rozjaśniła się zatroskana twarz kuzyna.

— To dobrze, to bardzo dobrze!

Tak to ludzie głowy tracili w tych czasach.

* * *

Za dni kilka weszli do Lwowa Moskale, nie rznęli, nie rabowali, odbyło się wszystko w tonie najlepszym.

Więc śmiało do domu powracać można.

Wyjeżdżamy nazajutrz, przepustki nie mieliśmy nietylko w tej drodze ale usque ad finem, najlepszą przepustką pół rubla.

Gościniec znów zawalony wojskami, trenami, maszerującemi ku północy, lepiej nam się jechało jak poprzednio, gdyż jedną stronę gościńca zostawiono wolną.

Wieczór stajemy w Kamionce.

W aptece mówią nam, iż dwór nasz nieco zarobowany — ot bagatela.

Bagatela niczego!

Okna wybite, drzwi wyłamane, urządzenie zarobowane, pogruchotane, pobite, pocięte, a resztki w dzikim wirwarze rozrzucone po podłogach i udekorowane obficie pamiątką strawności.

Rozglądamy się przy świetle latarni powozowej.

Zdaje się tu nie wiele zostało.

Idziemy na górę do naszych pokoi mieszkalnych, konsumujemy wikt przywieziony i sadowimy się jak można najwygodniej, na resztkę kanapy, na odłamku łóżka.

Niebawem świeczka gaśnie, co gorsze kończą się papierosy.

Druga w nocy.

Łomot w parterze, słysząc głosy.

Jestem bez broni, sytuacja nie wesoła.

Może nie przyjdą na górę, szepcemy.

Nie przyszli — ucichło.

W pół godziny później łomot wiele gorszy, ktoś wali po schodach na górę.

— Idą zbóje!

Żona kurczowo chwyta mnie za rękę.

— Co z nami będzie!

Łomot coraz bliższy, z trzaskiem wywracają się drzwi z zawiasów wyjęte i wpada do pokoju olbrzymi — pies legawy.

Odetchnęliśmy.

Pies łasił się uprzejmie, zjadł resztki kolacyi, naza jutrz biegł za nami do Lwowa i zgubił się na rogatce.

Świtać zaczęło.

— Tu niema co robić, wracajmy do Lwowa.

W przechodzie stajen miałem sposobność przekonać się, że zrabowano folwark kompletnie.

Na pastwiskach w okół stajen kilkadziesiąt namiotów, dzięki Bogu dzicz spała jeszcze.

Jedziemy na Żelechów.

— Co z końmi?

- Zabrali.
- Maja?
- Zabrali!

* * *

Powróciwszy do Lwowa przez dwa dni podpieram mury ratusza chcąc dostać się do ówczesnego gubernatora hr. Szeremetiewa, trzeciego dnia poszukałem protekcyi i natychmiast przyjęty zostałem.

Opowiadam ekscellencyi o mem nieszczęściu, podkreślając ze złośliwością — dzieło — pana jenerała, który mi czwórkę zrabował.

— Wiem, że źle się dzieje, gorzej jak w wojnie japońskiej, niech pan mówi jak i w czym pomóż panu mogę.

— Konie, które wojska zabrały przypadły, proszę jednak ekscellencyę o rozkaz do komendanta oddziału w Kamionce, by dał mi straż, przy której pomocy mógłbym odebrać źrebięta przez chłopów zrabowane.

Ekscellencya odpowiedni rozkaz natychmiast podał.

Za drogie były fiakry, znajdujemy furkę na rogatce i wieczór jesteśmy w Kamionce.

Z rozkazem gubernatora w kieszeni, pewni siebie stajemy przed komendantem; figura dzika, ponura i dwaj równie sympatyczni oficerowie siedzą na werandzie domu.

Wchodzimy po schodkach.

— Tam na dole czekać! czego tu się pchacie?

Zawróciliśmy bardzo pospiesznie, inaczej bylibyśmy zostali zawróceni, jeden z oficerów już mnie za kark chwycił.

— Mam rozkaz od gubernatora — wrzeszczę w szewskiej pasy.

— Ja tu sam gubernator — odrykiwuje komendant.

— Mam rozkaz dla pana, — powtarzam ostro, przypuszczając, że zarządzenia gubernatora są w Rosyi w najmniejsem poszanowaniu jak u nas, — ma mi pan dać straż do pomocy w odebraniu źrebiąt przez chłopów zrabowanych.

Jak pies wściekły, rzucił się komendant; on przyszedł bić Austryaków nie szukać za końmi Lachów.

Zdaje mi się jednak, że szanowny komendant bił gębą a przyszedł ładować kieszenie. Brał co dusza pragnęła, nie płacił za nic, a rządowi swemu bez wątpienia zarachowywał i bogaczem z wojny powróci.

Może nie on jeden.

Ładna u tych panów subordynacya, pomyślałem i pojechaliśmy do Tadania, gdzie zajechaliśmy na leśnictwo.

* * *

Nazajutrz już o świcie kilkaset furgonów moskiewskich zajeżdża na gumna i pola, zabierają owsy, jęczmiona, siana i koniczyny ze stert, półkoptów i kopic (zboże wymłócone z magazynu zarekwirowali chłopcy).

Pozostał na folwarku kuc i biedka dwukołowa, zaprzęgam ten ekwipaż i wybieram się po pieniądze za rekwizycyę.

Zastaję komendanta na werandzie wypoczywającego.

— Czeakać tam — huknął, gdy mnie spostrzegł.

Czekam dwie godziny cierpliwie.

Raczył się ruszyć nareszcie.

— Co tam?

— Proszę mi zapłacić za owies, jęczmień, siano.

— Ja wam nic nie zabieram.

— Biorą pańscy żołnierze.

— Jak się nazywają?

— Panie cudowny! gdybym i chciał się zapoznać nie powie mi żaden nazwiska.

— Ja wam nie poradzę, gdy nie wiecie kto bierze.

— Proszę by pan pułkownik łaskaw był wyjść na gościniec, setki pełnych fur jedzie z Tadania, zobaczy pan kto bierze.

Pułkownik rzucił się.

— Ja na was donosy, wy szpieg austriacki.

— Nie jestem szpiegiem.

— W waszym lesie strzelano do samochodu naszego, ja was biorę za zakładnika, poszlę was do Mostów, tam w lochu siedzieć będziecie, a gdy choć jeden strzał padnie jeszcze — pójdziecie na hak.

Miła perspektywa i los pewny, bo choć nikt samochodu nie ostrzeliwał, tem pilniej polowali żołdaci a padały strzały od rana do wieczora.

Komendant kazał mnie do swej kancelaryi zaprowadzić, podali mi krzesło, siadłem rozmyślając, jakby tu nura urządzić.

Na szczęście moje nadjeżdża niebawem wielki transport rannych z pod Żółkwi czy też z pod Rawy, co żyje idzie oglądać, ja zaś korzystam ze sposobności i wymykam się pospiesznie.

Ekwipażu mego już nie zastałem, zarekwirovano vulgo skradziono — pogoniłem do Tadania piechotą.

Co prędzej najęliśmy furę i wróciliśmy do Lwowa.

Milsze życie i wolność jak owies i koniczyna.

W tym samym dniu leśniczy mój opłaciwszy kozaków, kilkadziesiąt fur chłopskich naładowanych w lesie wyciętem drzewem do pułkownika sprowadził.

— Haraszto! właśnie potrzeba mi podwód do transportu rannych.

Drzewo kazał wyrzucić, rannych załadować i wieść do Krasnego.

Następnego dnia chłopci wrócili i drzewo zabrali bez przeszkód.

* * *

Trzeciego dnia po ucieczce przed Mostami i Hakiem doniósł mi leśniczy przez pośtańca, bym nie wracał pod żadnym warunkiem, albowiem szukają mnie Kozacy, jako szpiega i winowajcę, który ostrzeliwał samochód rosyjski. Dom mój otoczono, przeszukano, robiono potem rewizję na leśnictwie.

Może nie pomyłę się twierdząc, iż domyślałam się w tem uprzejmej przysługi ze strony chłopów.

Zostajemy więc we Lwowie czas dłuższy.

Dopiero, gdy doszły nas wieści, iż pułkownik przyjaciel wyjechał, i urzęduje już w Kamionce urzędnik cywilny, żona moja wybrała się sama dla zbadania sytuacji, by sprawdzić czy wciąż jeszcze szpiegiem jestem i zamachowcem na samochody.

Przyjęta przez naczelnika niesłychanie szarmancko, z wielokrotnem ucałowaniem rączek in natura, doniosła mi, że śmiało powracać mogę.

Więc jadę.

Staję przed naczelnikiem powiatu:

Kapitałny kawałek, jak stał przetransportować go na deski teatralne, na bohatera wesolej operetki, a powodzenie najpewniejsze — szlager.

Mężczyzna około 60 lat, wzrostu więcej niż średniego, barczysty, dobrej tuszy, w pasie jako panienska

zesznurowany, a szczególną miewał figurę w tak zwanej przez myśliwych — ukraince — z niestęchanie wywa-
 łowanemi kłębami, iż w tem przez najszersze drzwi prze-
 cisnąć się nie mógł, z wąsem płowym, sumiastym,
 bocznym zarostem podsztukowanym, z dumnie wzniesioną
 głową, zawsze o każdej dnia porze komicznie sztywny.

A chody miał pan naczelnik!

Niczem koń na popisie; starzy aktorzy w ten spo-
 sób po scenie chadzali, obecnie wyszło to z mody.

Przerażająco majestatyczne.

Dużo z pawia, trochę z gęsi, gdy stają w obronie
 gęsiątek, nieco z indora, gdy wachlarz rozpusza.

A stroje!

Niczem panna na wydaniu.

Różowe w różnych odcieniach, niebieskie, ponsowe,
 żółte spodenki, bluzki, płaszczyki.

A ordery!

Nawet na szlafroku.

W zasadzie nie był to zły człowiek, tylko najzupet-
 niej zwarjowany in punkto chłopów i prawosławia, a może
 in punkto chłopów z powodu prawosławia.

Radowała się dusza naczelnika, bo wielce był bogo-
 bojny i chadzał przed panem, gdy chłopci masami na pra-
 wosławie przechodzili, a chłopci religię zmieniali, gdyż jak
 mawiali, już sześćset lat na księdza swego czekają.

Dziwne się działy metamorfozy.

Wieś przed wojną w połowie ukraińska, do niedawna
 przez wójta Ukraińca rządzona, w ciągu okupacyi staje
 się moskiewską w komplecie, co wcale nie przeszkadza,
 że po zmianie stosunków ponowne salto mortale błędne
 owieczki na drogę prawa zawróci, i z wilka będzie baran.

W Wiedniu głośzono chwałę Tyrolczykom wschodu, a tu w tej nawale moskalizmu i z latarką nie łatwo Ukraińca doszukać, tu na miejscu lud z własnej woli, bo w tym kierunku nie wywierano nacisku, zapewne przymus na leguminę chowając, wesoło prawosławie przyjmował i cara chwalił.

* * *

Mimo wszystko w miarę pobytu na swej kamio-neckiej stolicy tracił naczelnik predylekcyę do chłopów, bo przed końcem seiner glorreichen Regierung, powiedział raz do mnie — nie wiedziałem, że chłopci tutejsi tacy niedobrzy — użył właściwie dosadniejszego wyrażenia.

Nie będę zapewniał, że nie przeczyłem wcale.

Obawiam się o dalszą naczelnika karierę, gotów ją zakończyć niepożądanie wysoko. Mosty na Bugu wysadził przedwcześnie, na dni dziesięć przed cofnięciem się armji za Bug, mówili oficerowie — gdybyśmy go mieli! — i stawiać musieli mosty na nowo.

* * *

Po panu naczelniku najważniejszą figurą w ujeździe był pan Nefiodor, referent policyjny.

Wiadomo jaką rolę w Rosyi odgrywa policya, szczęściem był to człowiek zacny, pozałem najlepiej wychowany i nawet juchtem nie woniał.

Jemu niezawodnie zawdzięczam, iż mimo wszelkie donosy nie przejechałem się na Sybir.

Był w kancelaryi urzędowej jeszcze zastępca naczelnika, pan bardzo ponury, z którym nie miałem styczności.

Ślawna jest Rosya z łapówek, wyjątek, mówią, bywa dowodem reguły, z tych panów jednak stanowczo nikt nie brał.

Ostatecznie prócz różnych pisarzy urzędował nam jeszcze pan przystaw, niby Polak, niby kanalja najgorszego gatunku.

* * *

Więc staję przed panem naczelnikiem i z miejsca pokochujemy się namiętnie.

Miłość namiętna nie bywa trwałą, rwie się jak przędza pajęcza, ulata jak miraż złudny, i miłość nasza, gdym począł naczelnika bombardować nieprawościami chłopskimi zbyt prędko rozwiła się jako mgła poranna w gorących blaskach lipcowego słońca i — żyliśmy jako pies z kotem.

* * *

Główne zadanie działalności mej w najbliższej przyszłości polegało w wyszukaniu i odebraniu zrabowanych koni, o ile one między chłopstwem znajdywać się mogły.

Więc przedewszystkiem proszę naczelnika o pomoc w tej sprawie.

— Dam wam strażnika, ale za niego zapłacić musicie 48 rubli miesięcznie, strażnika i konia swym kosztem utrzymać, a zapłacić za sześć miesięcy z góry.

Sześć razy czterdzieści ośm równa się dwustu osmdziesięciu ośmiu rublom, suma za poważna na owe czasy Arabji desertej w kieszeni.

Puszczamy się w targi i wytargowujemy dwa miesiące.

Dostaję Czerkiesa, porządny był człowiek i szedł mi na rękę.

Uganiem się z nim po własnym i powiatach sąsiednich, odbieram dziesięć krów, kilkanaście źrebaków, wyprzegając z wozów i pługów roczniaki poniszczzone, pomizerowane do niemożliwości.

Bywało nie ja źrebaka, ale on mnie poznawał, w wypadku wątpliwym przebieżem najlepszym był cukier.

Z Czerkiesem przeprowadzamy także rewizję we wsi, odbieramy znalezione rzeczy, raczej dla honoru, jak dla korzyści, co wart bowiem obrus w pół przecięty, wyjęty — z kołyski, serweta, która służyła — za onuckę, albo żakietowe ubranie używane przy ładowaniu — fury gnoju.

Niebawem inne wiatry powiały.

Naczelnik zabronił robienia rewizji, odbierania czegokolwiek bez wiedzy jego i pozwolenia w każdym wypadku poszczególnym.

— Odtąd za każdy od rabusiów odebrany przedmiot płacić musiałem premję, jak mawiał naczelnik — za przechowanie — jak ja sądzę — za rabunek — niezawodnie z tego powodu, gdyż chłopci już na prawosławie przechodzić poczynali, za co należało im się uznanie, które i wygodnie i miło rozdzielić z cudzej kieszeni.

Za zrabowane roczne źrebaki, które chłop nieproszony z mej stajni wyprowadził, następnie używając w pracy ciężkiej, wieku nieodpowiedniej, wartość tegoż do trzeciej części zredukował, płacić musiałem po koronie za każdy dzień, szumnie przez naczelnika nazwanego — przechowania.

— Horrrendum przez sześć r!

Sporą sumę w ten sposób wydałem po to, by za kilka miesięcy to wszystko i wszystko inne ponownie mi zrabowano.

Resztki z urzędzenia domowego, parę cudem pozostałych dywanów, meble mniej poniszczone, kilkanaście obrazów, niektóre pod szczęśliwą gwiazdą stworzone, nawet całe, wszystko co przedstawiało jeszcze jakkolwiek wartość, zamurowaliśmy w oddzielnej części piwnicy sklepowej pod dworem naszym. Przy wycofywaniu się wojsk ruskich, gospodarowali kozacy przez dni dziesięć na folwarku nim go spalili, a nie odkryli piwnicy tajemnej.

Niestety znaleźli się potem inni — Kolumbowie — odkryto piwnicę pod gruzami domu, rozbito, poniszczono i rozwleczono resztki, i ze zdaje się z komfortem urządzanego dworu nie został garnek, by zupę zgotować.

* * *

Czerkiesa mego niebawem zabrał naczelnik, dostałem nowego anioła stróża, draba jakiegoś z pod Uralu rodem.

Nowy strażnik przedewszystkiem z mieszkania swego wyrzucił dzban i miednicę, tego mu nie potrzeba, ubrania i bielizny nie zrzucił nigdy, spał nawet w swej olbrzymiej czapce baraniej, a pachł, ręczę, mniej wonnie, jak róża w rozkwicie.

Jakże chętnie byłbym go posłał Paryżowi w prezencie. Usadowiliby go w wielkiej operze w pierwszym rzędzie foteli i zatykając nosy ryczeliby z entuzjazmem — vive la Russie! — ta Russie, która oświatę, kulturę, przynosi barbarzyńcom.

— Hosanna na wysokości!

Po drugie nowy strażnik w dziwnem pojęciu swych obowiązków chłopom w rabunkach pomagał. Zdarzyło się, raczej zdarzało się codziennie, iż chłopci las rabowali.

Posyłam strażnika, by rabusiów przepędził, poszedł i zrobił porządek należyty.

Zbił mych gajowych, bo przeszkadzali w rabunku.

Szturmuję do naczelnika o zmianę strażnika, obiecuje i nareszcie po kilku tygodniach przeżytych w drodze, któż bowiem mógł zaręczyć, czy stróżowi bezpieczeństwa naszego nie przyjdzie kiedy ochota zamordować i obrabować nas przez niego strzeżonych, dostaję Małorusa.

Chłop spokojny, także się nie mył, jadł, pił i spał.

Wypadło jechać do Lwowa. Częste zdarzały się w drodze rabunki, dla bezpieczeństwa sadowię strażnika na koźle.

Naczelnika spotykamy w drodze.

Wróciwszy cytacyę zastaję.

Gromy! nie wolno strażnikowi po Lwowach jeździć, nie na to jest strażnik.

— Na co?

— Ma was bronić w mieszkaniu, gdyby zbój nóż chciał wam w brzuchu utopić, ma go strażnik za ramię uchwycić — nie lzia!

— Potem jak śmiecie ruskiego żołdaka sadowić na kozioł, on nie wasz lokaj — wy panie pamieszczyk!

Przy tak ograniczonej użyteczności strażnika, przekonany, iż — nie lzia — gdy nóż już mieć będę w wnętrzościach także nie wiele mi pociechy przysporzy, strażnika oddałem.

*

*

*

Kowal dworski wyprowadził krowę z folwarku, jedną z kilku przez Moskali zapomnianych, zagonił do wsi sąsiedniej i ukrył u tamtejszego gospodarza, teścia swego in spe.

Godziwe to i moralne, bo wiadomo ład i porządek w społeczeństwie oparty w pierwszym rzędzie na gnieździe rodzinnem, a krowa właśnie stać się miała spiżową podwaliną nowego szczęścia w zakątku. Bez krowy panna młoda z trojgiem drobiazgu, partya zresztą niczego, gdyż za każdą dziecinę inny tатko płacił alimentacye, wiele z uroku traciła, krowa jedynie stać się mogła spójnią łączącą dwie dusze pokrewne w związek dozgonnej miłości, ona tylko wesoło kiwając ogonem różowe skronie oblubienicy w wianek mirtowy ustroić mogła. Bez krowy nie będzie małżeństwa, bo czemże nakarmić troje bachorów z epoki dziewiczej i te, które przyjdą po ślubie.

Bezsumienny pamieszczyk nie uwzględnił nawet tak wzniosłych pobudek „diela“ kowala i domagam się od teścia in spe zwrotu skradzionej krowy.

Ma się wiedzieć, odbieram odpowiedź, że to krowa nie moja, on ją z cielęciami wychował, napadam go w jego własnym domu i rabuję, a liczna familia sekunduje w kociuby zbrojna.

Przedstawiam sprawę w urzędzie, po wielu urgensach naczelnik termin oznacza.

Przywożę trzech świadków, gotowych fakt przysięgą stwierdzić.

— Krestijanin, to wasza krowa?

— Moja, kupiłem za sto rubli, — nieborak zapomniał jako przed miesiącem ją wychował z cielęciami.

Upraszam o przesłuchanie świadków.

— POCO mi świadków, wiem z góry, że świadkowi wasi zeznają tak jak wy chcecie — to wasza służba, nieprawda — na co mi świadków fałszywych. Ten czestny człowiek powiada, że kupił — więc kupił.

— Daliście za krowę sto rubli?

— Tak proszę łaski pana komendanta.

— Człowiecze! gadajcie prawdę, wy nie dali sto rubli, krowa tyle nie warta, wy dali za nią pięćdziesiąt.

Chłop się zacukał.

— Więc poco łziecie, oddajcie krowę pamieszczkowi, bo to jemu skradziona, a wy — naczelnik zwraca się do mnie — macie mu zapłacić pięćdziesiąt rubli, bo tyle dał za nią.

Krowa wartą była z pięćset koron, rad nie rad dobywam pieniądze, daję czestnemu!

Proszę łaski pana komendanta, to dużo wetyka krywda, niech pamieszczyk jeszcze za utrzymanie zapłaci, trzymałem krowę trzy miesiące.

— Człowiecze — powiadam — chowaliście świadomie krowę skradzioną, grosza za nią nikomu nie daliście, krowa pała się na dworskich łąkach za darmo, dostajecie pięćdziesiąt rubli, mieliście mleko od niej...

— Gdzie tam ona mleko daje!

— Mieliście nawóz...

— Gdzie tam ona nie... — i w słowie niekoniecznie salonowem, natomiast dobitnem, chłop stwierdza, iż to taka podła krowa, która nawet nie fabrykuje nawozu.

Parsknęli wszyscy, jednak za — utrzymanie — kilkanaście koron i furę słomy dodać musiałem.

* * *

Dowiaduję się, że dwie makaty w mym domu zrabowane, piękne makaty buczone, znajdują się u pewnej baby w sąsiedniej wsi Jamne.

Po myśli wydanego rozporządzenia proszę naczelnika o pozwolenie zrobienia rewizyi.

— Ileż warte te makaty wasze?

Objaśniam, że przed laty kilkunastu dałem za nie po pięćset koron, wyroby te jednak znacznie w cenie wzrosły i warte teraz co najmniej kwotę podwójną.

— Gadacie — tyle pieniędzy za jakieś szmatki.

— Mniejsza o wartość — pozwala pan na rewizyę?

— A wy widzieli na własne oczy, że te szmatki wasze są u tej kobiety?

— Nie widziałem, mówiono mi.

— Co będzie, jeśli nie znajdziecie?

— Nic nie będzie, korona nikomu z głowy nie spadnie.

— Będzie wstyd dla niej, hańba, mieć będzie żal do was i słuźny.

— Święte słowo pana naczelnika, nie można kobiety narażać na takie przykrości, więc naprzód na własne oczy zobaczę, jeśli są, pozwoli pan na rewizyę i szmatki odbiorę.

— Nie wolno wam nachodzić cudzych domów, to samo już będzie rewizyą.

— Panie naczelniku, jakże bez rewizyi mógłbym na własne oczy zobaczyć?

— Czy wy tacy uparci, czy macie tak tępy umysł — powtarza — na rewizyę mógłbym pozwolić wówczas tylko, gdybyście poprzednio wasze makaty, jak wy to nazywacie, na własne oczy widzieli — że wy nie widzieli — więc nie pozwalam.

— Pojmuję mimo tępego umysłu, pojedę, zobaczę, jeśli są wytniemy rewizyjkę i odbiorę.

— Nie wolno! bo nie widzieliście na własne oczy. Błędne koło, ani wprzód, ani wstecz.

Rezygnuję z dozwolonej i robię rewizję na ochotnika.

Znajduję resztki z jednej makaty, część nakrywa garnek z serem, część służy za barwny fartuszek kilkuletniej panience, na trzeciej sieka babina kartofle.

Resztki zabieram dla satysfakcyi w miłej nadziei, że jeszcze może czas nadejdzie, w którym za makaty moje babie chałupę na licytacji sprzedam.

Makatę drugą, jak mi później mówiono, sprzedała baba żydowi za kilka koron.

Żyd znajdzie się zawsze na poczekaniu, a handel i z piasku ukręci.

Porabowano ich nie mniej gruntownie jak nas.

Gdy w Tadaniu przeprowadzałem rewizję, w każdej chacie zastawałem formalny kram towarów mieszanych, od migdałów i pasty do obuwia począwszy, na sztukach aksamitu, zwojach koronek i trzewikach lakierowych skończywszy, a gdy przy sposobności zwróciłem na te zapasy zdobyczne uwagę naczelnika powiatu, dał mi odpowiedź z przekazem — czy to wy ojciec żydowski.

Mimo to niemal w kilka godzin po wypróżnieniu magazynów i sklepów żydowskich, znalazły się towary świeże, bądź z Rosyi, bądź ze Lwowa przywiezione i szedł handel dawnym trybem.

Żyd bez geszeftu to ryba bez wody, ptak bez powietrza, wielbłąd bez piasku, dla zysku nie zna ni trudu ni znoju, i kwiaty rzuci pod nogi Moskala, w zad ucałuje konia kozaka, i szyld rosyjski wywiesi bez potrzeby.

Raz oficer w sklepie zapytał żyda, — świadkiem by-
 tem przypadkiem — czy wyszło w tym kierunku rozpo-
 rządzenie — a żyd uśmiechem wprost rozanielony odrzekł,
 cmokając wargami — ny ja tak od szeby!

I tak — od szeby — po handlach żydowskich por-
 trety cara, carowej, carątek witryny zdobity, bogactwem
 kolorów chwytając za oczy.

Gdy Moskal przystawał na ulicy Lwowa, tłum żydów
 w usługi się rzucał skwapliwie, szczęśliwy gdy mógł być
 usłużny; potem gdy „Czas“ krakowski coś o tem napisał,
 zbierano podpisy u gojów, a goje pisali świadectwa mor-
 ralności, by prać brudną bieliznę żydowską, zaś żydzi
 honory nam w Wiedniu czynili.

Die Polen aus Brody.

Szedł więc handelek i tam i tu wedle recepty we-
 sołej: es ist schön für Vaterland zu sterben, es ist schön-
 er für Vaterland zu leben, aber am schönsten ist zu
 liefern — a gdy „tu“ Vaterland bywał za górami, lasami,
 zasada w skróconej formie została nie zmienną, „tam“.

Jeki, Nuchimy, Berly, Abrahamy — nach durchge-
 führter Verhandlung erkannte der Gerichtshof schuldig
 und verurteilte zu einem Monat strengen Arrestes und
 zwei Tausend Kronen Geldstrafe — aż do — zwei Mo-
 naten strengen Arrestes und zehn Tausend Kronen Geld-
 strafe, weil die Angeklagten sich als ganz unberufene
 Zwischenglieder zwischen dem Producenten und Konsu-
 menten eingeschlichen haben, und zur Preiserhöhung der
 Konsumartikel mitbeitrugen.

Cudowna charakterystyka — der Polen aus Brody.

Przedziwnie wysokie pojęcie obywatele Izraela mie-
 wają o sobie, ot drobny przykład, ale typowy.

Pan Benzion Dachs rabin, powiedzmy ze Szczerca, rnie depeszę gratulując zajęcia Warszawy, naturalnie bez depeszy imci Benziona sztab jeneralny byłby wprost zrozpaczony, w Weltblacie ogłasza to potem pan Benzion — wiedz świecie, iż pan Benzion złożył gratulacye!

Czyż to nie manja wielkości przedziwna, obłąd, prepotencya żydom właściwa.

A trzy rozróżniam żydów odmiany:

Pierwsza — żyd asyryjski.

Wysoki o regularnych rysach, szczupły z piękną kwadratową brodą do pasa sięgającą, wyłącznie czarną, rozkosznie wyczesaną, w błyszczącym hałacie, z mnóstwem pierścionków na długich, cienkich palcach, haczykowato zagiętych niby szpony. Gatunek ten żyje w strefie umiarkowanej, przeważnie w Galicyi i żywi się — gojem.

Odmiana druga — to żyd murzyński.

Jak już nazwa wskazuje, z twarzy do murzyna podobny, z grubemi wywróconemi wargami, z okiem białkiem zawróconem, zarost ma krótki, czarny, gęsty, postać pękatą, nosi spodnie pepita, niebieską kamizelkę i ciemny tużurek.

Żyje jak poprzedni w strefie umiarkowanej, przeważnie w Galicyi, palcy ma jak szpony, a żywi się — gojem.

Rodzaj trzeci — to typ żydowski.

Bywa bardzo wysoki i niski, chudy i pulchny, czarny i rudy, nos ma misternie zakręcony, zamiast palców szpony, żyje jak obie odmiany poprzednie w strefie umiarkowanej, wyłącznie w Galicyi i także żywi się — gojem.

Paradniejsze okazy z wszystkich trzech gatunków odlatują — niestety tylko na czas wojny.

BIBLIOTEKA
 KRAJOWA WARSZAWA
 SEKCJA IV

— Krestianin co wy na to?

— To żadne piętno proszę łaski pana komendanta, to szrama po skaleczeniu, wże bude sziść nidil, weterynar wziął trzy srebra.

— Słyszycie i czego wy zabieracie cudzego konia?

— Panie, dziecko pozna, że to piętno nie szrama żadna.

— Krestijanin piętno to czy szrama?

— Jej Boh! weterynar wziął trzy srebra.

— Proszę ja was, czy po ranie może szrama pozostać?

— Może.

— Sami mówicie, że może. Koń był skaleczony, jest znak po ranie, płacił weterynarza, koń jest jego, oddajcie mu konia.

— Panie naczelniku, klacz w zaprzęgu stoi pod domem, proszę oglądnąć.

— Pajdom.

— Idziemy.

— Piętno jak na dłoni, nie ma żadnej wątpliwości.

— Słuchajcie? wy ciągle żale wnosicie, że tyle wam pięknych koni przepadło, a to koń piękny?

— Szlachetny i piękny ale zniszczony, przerażająco chudy i zaniedbany.

— To wy mieli takie zaniedbane konie?

— Panie! klacz zrabowano przed trzema miesiącami, tak pięknie ją krestijanin urządził.

— Dajcie mi pokój, to koń krestijanina, nędzny jak on sam.

— No a piętno!

Naczelnik podumał.

— U was krestijaninowi nie wolno konia piętnować. tylko wam pamieszczynom, są takie ustawy u was?

Sprawa na farsę zacina i aczkolwiek obawiam się o los biednej kobyły, którą przed dwoma laty kupiłem w znanym stadzie pana Jędrzejowicza w Dylągówce, płacąc za dwuletnią wówczas źrebicę tysiąc czterysta koron, bo widocznie wnioskując z całej arcydziwacznej konwersacyi chciał ją naczelnik koniecznie chłopu przysądzić, od śmiechu nie mogłem się powstrzymać.

— Dlaczego wy się śmiejecie?

— Z pańskich świetnych dowcipów.

Naczelnik surowo brwi zmarszczył, wąs zakręcił, co czynił, gdy był zirytowany i rzekł tonem podrażnionym:

— Nie robię dowcipów, ale was pytam czy są takie ustawy u was.

— Takich ustaw u nas mie ma.

— Widzicie, więc krestijanin mógł swego konia piętnować.

— Panie naczelniku! krestijanin bynajmniej nie twierdzi, że on klacz piętnował, on przeczy by to wogóle piętno było, krestijanie u nas koni nie piętnują, czynią to stada.

— U was takie ustawy?

— Tak, są takie ustawy.

— A mówiliście, że nie ma!

— Są czy nie ma, to w tym wypadku obojętne, chłop łże, klacz bezwarunkowo jest moją.

Nie wiadomo jaki byłby rezultat przedługich pertraktacyj, najpewniej byłbym musiał zapłacić grubsze odszkodowanie za — przechowanie — na szczęście odwołano naczelnika dla pilnej depeszy, ja zaś odjechałem, zostawiając chłopą klącego, a klnie po dziś dzień może, co bynajmniej mnie nie wzrusza i nie sprawia mi żadnych wyrzutów sumienia.

* * *

regi konwoju opodal, by, jeśli się uda, krowę za bezcen zakupić, gdy się nie uda, ponownie guza oberwać.

* * *

Powracam do historyi makat.

Baba ze skargą pognąła, iż ją zrabowałem.

Cytacya.

— Jak śmiecie robić rewizyę wbrew zakazowi memu?

— Przeglądnałem na własne oczy, nie robiłem rewizyi.

— Kobieta się skaży, że wy jej jakieś szmatki zabrali.

— Zabrałem szmatki, ale moje własne.

— Naczelnik spojrział tryumfująco.

— I dla bezwartościowych szmatek hańbicie czestne ludy, ja was zamknę, ja was koniecznie zamknąć muszę.

— Kochany panie naczelniku! a babę za zrabowanie i zniszczenie cennej makaty?

Nie otrzymałem odpowiedzi.

* * *

— Proszę ja was, co jest z majątkiem waszego brata?

— Brat dawno przed wojną dla ratowania zdrowia do kąpiel wyjechał, w czasie mobilizacyi powrócić już nie mógł, ja się administracyą zajmuję.

— A macie pełnomocnictwo?

— Miałem notaryalne, ale — widzi pan naczelnik jak u mnie wygląda, poniszczone wszystko, nawet papiery.

— Pełnomocnictwo uzupełniam, wystawił brat przed okiem w Marienbadzie, bo przychodzi mi na myśl, mógłby zażądać przedłożenia odpisu pełnomocnictwa, którego nigdy nie miałem.

— Haraszo! przyjedźcie do mnie jutro, ja wam majątek brata w ochronę oddam, dam wam bumazkę, w ten sposób będzie wszystko w porządku.

Pięknie dziękuję i cieszę się, że w tak łatwy sposób sprawę ubiłem, gdy wielu z mych znajomych, ratując dobra krewnych od zapowiedzianej konfiskaty czy też sekwestru, natrafiali niejednokrotnie na trudności najgorsze.

Korzystam ze sposobności i świetnego humoru naczelnika, który w południe przed dom mój zajechał i na obiedzie pozostał, by przy tej okazji więcej much ubić. Między chłopami były jeszcze folwarczne wozy, pługi, uprząż, proszę naczelnika, by wydał nakaz natychmiastowego zwrotu tych przedmiotów.

— Poznacie co wasze?

— Pozna ekonom, gumieny, parobcy.

— Jeśli poznają — możecie odebrać, ale za — przechowanie — musicie zapłacić, po pięć rubli od wozu, po

— Łaskawy pan zapewne żartuje, wozownię rozbili, narzędzia pokradli i mam płacić za to!

— Proszę ja was, co wart wóz?

— Teraz z ośmdziesiąt rubli.

— A ile tych wozów?

— Podobno trzy.

Śluchajcie, za trzy wozy dacie razem rubli piętnaście, wozy wasze warte rubli dwieście czterdzieści; proszę ja was, gdyby waszego wozu Iwan nie wziął, wzięłyby

go Hryć z wsi dziesiątej i wóz byłby wam przepadł, tak wóz odzyskacie; no mówcie — nie przechowali wam wozów?

— Naczelnik kochany argumentował bajecznie przekonująco, jednak nie swojsko mi jakoś optać się za rozbicie wozowni i zrabowanie narzędzi.

— U nas szanowny panie za rabunki i złodziejstwa nie dają premji, ale — pakują do kozy.

— Wy pamieszczyki chcielibyście wszystkich do kryminalów wpackować, dajcie mi spokój, to czestne ludy.

* * *

Wielkorządca powiatowy urzędował w budynku sądu powiatowego, jedna z sal służyła mu za mieszkanie póki nie przeniósł się do jednego z opuszczonych domów, w drugiej ferował wyroki.

Śmiały się ściany, chichotały stołki, a wielki stół niegdyś nakryty sukniem zielonem, teraz podartem w kawałki, zapewne także w celach strategicznych, aż brał się za boki, a może i krzywił się gorzko nawykły do wyroków w imię prawa i sprawiedliwości.

Zgłaszam się o bumaskę przyobiecana.

W sali gwar, ścisk, naczelnik otoczony tłumem chłopów tłumaczy, radzi, godzi.

Ojciec wśród dzieci; Piast pod dębem rozłożył się.

Przeciskam się.

— Dzień dobry panu naczelnikowi.

— Co wy powiecie?

Witamy się serdecznie, ja zwłaszcza ocean uczucia wkładam w wymieniany uścisk dłoni, aby okazać chłopom jak dobre nas łączą stosunki.

— Proszę o pismo, które mi pan wczoraj obiecał.

— ?

— W sprawie zarządu majątku brata.

— Nie gniewajcie się ale — pisma wam nie dam.

— Sam pan wczoraj przyrzekł.

— Ja go dać wam nie mogę, skądże mam wiedzieć czy brat ma zaufanie do was i wam swój majątek powierzył.

— My po to tutaj jesteśmy, aby pilnować majątków tych, którzy pouciekali. Gdy oni wrócą — spytają — gdzie nasze mienie — my im powiemy — ot tu macie wszystko.

— Wy wprawdzie powiadacie, że macie pełnomocnictwo brata, ale skądże mam wiedzieć czy prawdę mówicie.

— Proszę ja was — a głos naczelnika brzmi słodko jako miód zebrany z kwiecica przez pszczołki pracowite, a prawica jego otacza z poufałością serdeczną ramiona moje, i stajemy niby Kastor i Polluks w braterskim uścisku, on odbudowujący, ja odbudowywany — proszę ja was bo to i brat brata obkraść może — o tak, i brat brata obkraść może — powtarza z nadmiarem uczucia w głosie.

A chłopcy, aż trzęsie ich zdumienie, jakie to dobre stosunki łączą Polaka z Moskałem — unosi uciecha, że i pan didic złodij.

A ja szanownego naczelnika kibić gibką obejmując czule, staram się nadać głosowi memu wyraz iście dziecięcej prostoty.

— Kochany panie naczelniku, zapewne z własnych pan sądzi zwyczajni.

Było to z końcem grudnia, lub w pierwszych dniach stycznia.

Karawaną przybyli chłopci do majątku brata mego.

Veni, vidi, vici i z kopców wywieźli dwieście korcy kartofli i pięćdziesiąt buraków.

Bezbronny zarządca folwarku towarzyszy Beduinom w granice ich gniazda rodzinnego, do półtora mili odległego grodu Dobrotwór.

Naczelnik gminy, uczciwy człowiek, fakt spisuje, wyclicza imiona i nazwiska raubritterów, akt uzupełnia pieczęcią gminną i swym podpisem. Dokument przedkładam naczelnikowi.

— Na co mi to pismo?

— Proszę zarządzić, by chłopci za kartofle i buraki zapłacili, i ukarać by może wypadało.

— Proszę ja was, cóż was właściwie obchodzi kartofle brata, macie wy pełnomocnictwo?

— Już panu wiadomo, miałem, zniszczono.

— Więc pełnomocnictwa nie macie.

— Niech i tak będzie — może pan jednak pieniądze pościąga, przechowa, a gdy brat powróci, odbierze. Wy przecież na to jesteście, żeby pilnować mienia tych, co powyjeżdżali.

— Dajcie mi pokój, my tu poto jesteśmy, aby zabezpieczać tyły naszej armji, nie mamy czasu zabawiać się kartoflami Lachów.

— Więc wolno chłopom rabować bezkarnie?

Namysł głęboki.

— Proszę ja was, to biedne ludy, skoro kradną kartofle, gdyby diengi mieli kupiliby, nie kradli — no mówcie sami — nie mają czem płacić, udajcie się do wójta, niech wam kartofle i buraki oddać każe, zabierzcie je sobie.

— Panie to niewykonalne, kartofle na mrozy po spacerach wożone zgniją, na folwarku dwie pary koni, nie zwiozą do sierpnia.

— Więc co chcecie?

— Niech pan chłopom każe zapłacić.

— A macie wy pełnomocnictwo?

— Wiadomo panu, miałem, zniszczono.

— Namysł głęboki.

— Wiecie wy co, wnieście do mnie podanie o za-
twierdzenie was w zarządzie majątku brata stem-
pel za dwa ruble.

— Za kwandrans wręczam podanie.

— Haraszo!

— A kartofle, buraki?

— To potem, po załatwieniu podania waszego.

Najpewniej, o ile dożyję i dwudziestopięcioletni
jubileusz wniesienia podania obchodzić będę — trudno,
nie było czasu na tyłach armji, a buraki, kartofle odbie-
rze się potem, po załatwieniu.

Mam jednak w Bogu nadzieję, że c. k. sądy
z kmiotkami należyty ład zrobią.

* * *

Jestem raz znowu u naczelnika.

Strażnicy wprowadzają draba schwytanego na go-
rącym uczynku kradzieży, za nim wchodzi do sali spła-
kany wyrostek żydowski, z okiem podbitym, zsiniałem.

Był to dzień jarmarczny.

Chłopcu dał ojciec, majster szewski, parę butów, by
sprzedał na targu. Obuwie drab chłopcu z rąk wyrwał,
częstując kułakiem.

Draba ujęto, buty wspólnikowi podane przypadły. Strażnicy meldują pokornie, sztywni jak struna, ja zaś wyczekuję z lubością, co zasz za wyrok będzie.

— Ile buty warte?

— Dwanaście rubli — wykszusza chłopiec, płaczem dławiony.

Naczelnik był towaroznawcą pierwszoklasowym, umiał oceniać towaru nie widząc i redukuje na poczekaniu wartość butów do rubli ośmiu.

— Tate kazał żądać dwanaście, dać za dziesięć.

— Stul pysk! a ty płac chłopcu ośm rubli.

Drab się zaklina, że niema halerza.

— Zrewidować.

Znajdują w kieszeniach pięciokoronówkę i rubla.

— Dać to jewrejowi.

— Panie komendancie! a co ja jeść będę, niech mi rubla zostawią.

— Rubla zwrócić, pięć koron oddać jewrejowi.

Żydek brać nie chce.

— Tate mnie zbije, kazał mi przynieść dziesięć rubli, albo butów nie sprzedawać wcale, jak ja się w domu pokażę!

— Oj joj, joj, joj!

— Bierz jewrej, bo nic nie dostaniesz.

— Nie wezmę!

— Jewreju przeklęty, paszoł won! Pieniądze oddać krestijaninowi.

Żydek wyniósł się rycząc boleśnie, wspomóżony kolaniem strażnika, drab schował pieniądze z ukontentowaniem, a Temida kichnęła.

Z tłumy wysuwa się nowy interesant, do nóg się chyli w pokorze.

— Co wy powiecie?

— Krzywda! proszę łaski pana komendanta, jewrej z towarem wysłał mnie do Lwowa, teraz za transport nie chce zapłacić.

— Ile wam się należy?

— Trzydzieści koron.

Sprawa już ubita! naczelnik kwit wydaje z nakazem do żyda, by wymienioną kwotę natychmiast wypłacił. Słusznie i sprawiedliwie, bo nie powinien jewrej krzywdzić chrześcijanina, tylko uzupełnić należy, iż towar do Lwowa nie jeździł wcale, bo skradł go chłop i sprzedał na miejscu.

Żyd w sali obecny chce protestować.

— Paszoł won! ktoby też słuchał jewreja.

* * *

Klacz odebrałem od chłopca.

Za dni kilka cytacya.

— Dlaczego zabraliście konia krestijaninowi?

— Bo to mój koń.

— Krestijanin, to koń pamieszczyka?

— Ta kudy, moja kobyła, sam wychowałem po cisarskim, jak Boga kocham.

— No widzicie, to jego koń.

— Zapewniam pana, chłop łże, klacz jest moja.

— Krestijanin to wasza kobyła?

— Jej Boh! moja po cisarskim.

— Panie naczelniku, klacz jest piętnowana, wszelka pomyłka z mej strony bezwzględnie wykluczona.

— Krestianin co wy na to ?

— To żadne piętno proszę łaski pana komendanta, to szrama po skaleczeniu, wże bude sziść nidil, weterynar wziął trzy srebra.

— Słyszycie i czego wy zabieracie cudzego konia ?

— Panie, dziecko pozna, że to piętno nie szrama żadna.

— Krestijanin piętno to czy szrama ?

— Jej Boh! weterynar wziął trzy srebra.

— Proszę ja was, czy po ranie może szrama pozostać ?

— Może.

— Sami mówicie, że może. Koń był skaleczony, jest znak po ranie, płacił weterynarza, koń jest jego, oddajcie mu konia.

— Panie naczelniku, klacz w zaprzęgu stoi pod domem, proszę oglądnąć.

— Pajdom.

— Idziemy.

— Piętno jak na dłoni, nie ma żadnej wątpliwości.

— Słuchajcie? wy ciągle żale wnosicie, że tyle wam pięknych koni przepadło, a to koń piękny ?

— Szlachetny i piękny ale zniszczony, przerażająco chudy i zaniedbany.

— To wy mieli takie zaniedbane konie ?

— Panie! klacz zrabowano przed trzema miesiącami, tak pięknie ją krestijanin urządził.

— Dajcie mi pokój, to koń krestijanina, nędzny jak on sam.

— No a piętno !

Naczelnik podumał.

— U was krestijaninowi nie wolno konia piętnować. tylko wam pamieszczynom, są takie ustawy u was ?

Sprawa na farsę zacina i aczkolwiek obawiam się o los biednej kobyły, którą przed dwoma laty kupiłem w znanym stadzie pana Jędrzejowicza w Dylągówce, płacąc za dwuletnią wówczas źrebicę tysiąc czterysta koron, bo widocznie wnioskując z całej arcydziwacznej konwersacyi chciał ją naczelnik koniecznie chłopu przysądzić, od śmiechu nie mogłem się powstrzymać.

— Dlaczego wy się śmiejecie?

— Z pańskich świetnych dowcipów.

Naczelnik surowo brwi zmarszczył, wąs zakręcił, co czynił, gdy był zirytowany i rzekł tonem podrażnionym:

— Nie robię dowcipów, ale was pytam czy są takie ustawy u was.

— Takich ustaw u nas mie ma.

— Widzicie, więc krestijanin mógł swego konia piętnować.

— Panie naczelniku! krestijanin bynajmniej nie twierdzi, że on klacz piętnował, on przeczy by to wogóle piętno było, krestijanie u nas koni nie piętnują, czynią to stada.

— U was takie ustawy?

— Tak, są takie ustawy.

— A mówiliście, że nie ma!

— Są czy nie ma, to w tym wypadku obojętne, chłop łże, klacz bezwarunkowo jest moją.

Nie wiadomo jaki byłby rezultat przedługich pertraktacyj, najpewniej byłbym musiał zapłacić grubsze odszkodowanie za — przechowanie — na szczęście odwołano naczelnika dla pilnej depeszy, ja zaś odjechałem, zostawiając chłopą klącego, a klnie po dziś dzień może, co bynajmniej mnie nie wzrusza i nie sprawia mi żadnych wyrzutów sumienia.

* * *

Sąsiad mój, pan Adam Thullie, właściciel Rzepniowa były długoletni marszałek powiatowy, pogorzał rok przed wojną.

Pech w ciągu bitwy szrapnel nadniósł i niedawno z popiołów odrodzone budynki padły po raz wtóry pastwą płomieni. Ocalał budynek mieszkalny i sterty na polach złożone.

Pan Thullie na marnej habetce, którą w chwili ostatniej podał jakiś sługa wierniejszy, życie ratował od kul i ognia jak stał i znalazł gościnne schronienie w sąsiednim Milatynie nowym, w klasztorze u boku słynnego kościoła z cudownym obrazem Jezusa.

Świsnęły jeszcze szrapnele, wrzała bitwa, folwark gorzał, a łupu niecierpliwi Rzepniowcy, z przywar najgorszych od dawna znani, już się do rabunku porwali. Chłopsstwo-pijane szalem i wódką, wytoczoną z magazynu gorzelnii na folwarku sąsiednim, potem wraz z folwarkiem zdaje się umyślnie spalonej, rabowało systematycznie do ostatniej klamki w drzwiach niespalonego dworu, do snopa ostatniego ze stert, a rabowany mógł to obserwować z okien gościnnej celki — bezsilny.

Gdy w stołecznym komioneckim grodzie osiadł naczelnik ujezdu i rozpoczął działalność obfitą w błogie owoce, prosił pan Thullie o asystencyę wojskową w celu przeprowadzenia rewizyi i odebrania choć części zrabowanego dobra.

Naczelnik odmówił, obiecał jednak przybyć na miejsce i sprawę rozpatrzyć.

Przybył niebawem.

Witany jak wszędzie w tych stronach niby prorok od wieków gorąco czekany, radośnie, entuzjastycznie, z wylewem serc miłością płynących — aż ckliwo — przez

ludek, jak mawiał, czestny, pocziwy, bogobojny — i sypnął rubelki, bo i uczucia swoją i ruble swoją drogą na ludek sptywały. Pan Thullie przedstawia swę pretensye i uzupełnia — w tej chwili właśnie rabują kartofle na mym łanie. Baranki Boże przeczą, nikt przecież nie ruszył kartofla, ni żadnej rzeczy pana Thulliego.

Rozgniewał się naczelnik niegodnem oczernianiem zacnych ludzi, wszak sam widział po drodze liczne kopce kartofli — więc poco wy gadacie, że wam kradną kartofle?

Pan Thullie objaśniła, że cudze kopce, które naczelnik mógł po drodze oglądać w niczem nie zmieniają faktu, w Rzepniowe rabunkowe wybieranie kartofel w toku najzupełniejszym, da Bóg pogodę, za dwa dni będzie skończone.

— Panie naczelniku, Rzepniowscy to zbóje najgorsi!
Zawrzało w naczelniku.

— Tu nie zbóje, to ludy czestne, a biedne, dajcie im — zapomogę!!!

Serenada na instrumentach dętych pod oknami chorych na tyfus plamisty!

Niechby artysta uwiecznił w tej chwili minę sąsiada mego, spłodziłby eine *Sehenwürdigkeit* ersten Ranges z pięciu gwiazdkami u Baedeckera.

Zrabowany przez chłopów do nitki ostatniej, w jednych pantalonach, z kilku koronami w kieszeni winien — tym chłopom dać zapomogę!

Wesołe by to było, gdyby nie było prawdziwe.

— Panie!

— Więc zapomogi nie dacie?

— Nie dam!

— Naczelnikiem zatrzęsło.

Wskazującym palcem zakreślał zagadkowe łuki pod nosem byłego marszałka i porykiwał charcząc.

— Nie dacie, nie dacie, a po co wy wojnę robili, wy pamieszczyki polskie! po co wy wojnę robili!

— Pomiarkuj się pan! nie ja wojnę robię.

— Wy! wy!

Pan Thulie dał za wygranę, odszedł.

Chłopi rzepniowscy, Moskale Vollbluty, nie lada usługi oddać musieli.

Naczelnik po świetnem zwycięstwie nad niegodziwym pamieszczykiem ukoił nieprawością tegoż wzburzone nerwy i otoczon gromadą — czestnych — skarg ich słuchał i żali.

— Krywda!

— Proszę łaski pana komendanta jedni, ci co konie mają, z stert dworskich zboża furami wywozili, biedniejsi po parę snopów na plecach wynosili,

— Podział nierówny, niesprawiedliwy!

Krzywda oczywista, należy zaradzić.

Wójt odbiera polecenie ujęcia jednym, dodania drugim.

Nie łatwo „diela“ dokonać, nikt zrabowanego zboża zwrócić nie zechce, nie weźmie i siłą.

Bywa ratunek przychodzi w potrzebie.

Na folwarku żydowskim Jadwiga, tuż przy Rzepniowie cudem stertka żyta została nienaruszoną.

Tą stertą żydowską z polecenia naczelnika powiatu obdzielono sprawiedliwie chłopów pokrzywdzonych przy rabunku krescency pana Adama Thulliego.

Na bajkę to patrzy, mimoto jest prawdziwe!

Pan Thullie po pomoc do Lwowa pojechał.

Obiecano najbardziej energiczne zarządzenia, dano list ochronny, który zapewne dotyczył tego, co nosił pan Thullie na sobie, bo kto tam wie, mógłby jeden z czestnych i buty z nóg ściągnąć — a rezultat był taki, iż chłopstwo przez zimę las niszczyło do woli, rozebrało do fundamentów wielki, murowany dom sąsiada, kilkaset koron rocznie czynszu przynoszący, a kilku pogorzalców sprowadziło się do dworu pana Thulliego, zamieszkało tam i zagospodarowało się jak u siebie.

I lisy, i pola, i pasowyska!

Pan Thullie nawet się nie śmiał na swym folwarku pokazać, bo byliby go chłopci kijami przepędzili.

Jak już wspomniałem, czas jakiś żyłem z naczelnikiem w możliwych stosunkach, próbowałem interwencyi na rzecz sąsiada, prosiła żona moja, u tych panów kobieta stosunkowo łatwiej coś uzyskać może — na darmo.

Fukał się pan naczelnik, dyszał i sapał.

— O Thulliem nie wspominajcie.

Widocznie źle bardzo był u nich notowany, lub co może bliższe prawdy — zbyt dobrze Rzepniów był tam zapisany.

Nie na tem koniec nieszczęścia sąsiada.

Cofając się zabrali go Moskale do Rosyi. Mówią, iż kozak pieszo popędził.

A pan Thullie ma lat sześćdziesiąt z górą.

Czy wróci!

* * *

Sąsiad mój pan Adam Bogusz, właściciel Derewlan, przy inwazyi nie ruszył się z miejsca, widocznie ma silne nerwy.

Po zajęciu Derewlan aresztowali go Moskale wraz z ekonomem i chłopcem kredensowym, dwadzieścia cztery

godzin pod wartą trzymali, grożąc sądem i szubienicą, a dowcipni żołdacy na gruszę sznurek zarzucili — to dla was.

Można posiwieć!

Potem puścili, w międzyczasie zrabowawszy częściowo. Cofając się folwark do reszty zrabowali i spalili, dwór wysadzili w powietrze, a pana Bogusza wywieźli.

Nie lepiej to było dmuchnąć do Puchera w Wiedniu!

A są i tacy, co po roku z Wiednia wracając mawiają:

— O wy tu nie wiecie, co my tam wycierpieli!

Dzięki Bogu mają ludzie humory mimo ciężkie czasy...

* * *

Na święto Bożego Ciała zarządzono spęd koni z powiatu w celach rekwizycyi do miasteczka Chołojowa, niezawodnie dla wygody obywateli, albowiem miasteczko wymienione leży na krańcu powiatu, zaś w święto Bożego Ciała ma każdy czasu poddostatkiem.

Nakazano przystawić konie wszelkie od lat trzech w górę. Wyjątek ustanowiono dla rolników narodowości słowiańskiej, nie posiadających mniej dwudziestu morgów ziemi.

Chcąc ratować mizerne resztki, tem droższe, stada mego, jadę do Lwowa i pięknie po russku ułożonem podaniem proszę o audyencyę u gubernatora. Rotmistrz adjutant objaśnia, że sprawa nie leży w zakresie działalności gubernatora. Kilku w sali poczekalnej obecnych wyższych wojskowych, z zainteresowania się rzeczą wnoszą oficerowie konnicy, wskazują mi adres jenerała Lewaszowa i pułkownika Oettingena, ci dwaj mogliby prośbę moją po mej myśli załatwić.

Nic tak nie łączy ludzi jak wspólne nieszczęście i chów koni.

Pułkownika Oettingena, rosyjskiego jak się zdaje generała Merhala (austr. inspektor chowu koni) poznałem już dawniej, raz nawet zagadaliśmy się o koniach tak gruntownie, że wyszedłszy z mieszkania pułkownika o godzinie spóźnionej, nie mając nocnej przepustki aresztowany zostałem.

Z pod gmachu żandarmeryi taszczył mnie strażnik na strażnicę policyjną przy ulicy Zyblikiewicza, tu przystaw na poczekaniu zasądził mnie na tydzień aresztu, potem jednak zmiękł i kazał mi się zabierać.

— W jaki sposób, — pytam — zajdę do mieszkania na ulicy Potockiego, przytrzymają mnie na najbliższym rogu.

— Nic wam nie poradzę, do rana możecie chodzić tam i z powrotem.

Ostatecznie ten sam strażnik, który mnie przyprowadził — odprowadził mnie aż przed bramę domu mego i dostał rubla.

— Nie woleliście dać odrazu, bylibyście sobie oszczędzili niepotrzebnych spacerów.

Miał rację bezwarunkowo.

Zdawało mi się, że pułkownik Oettingen ożywo-ny jest najlepszymi chęciami dla naszego chowu koni, dla ratowania resztek, o co na razie wyłącznie mi się rozchodziło. Jak jednak dobre te chęci były, na własnej skórze niebawem poznałem.

Zastawszy pułkownika pod wskazanym adresem, wyluszczyłem życzenia moje, które najżyczliwsze znalazły przyjęcie. Natychmiast wystawiono mi dokument wzbraniający rekwizycyi mych koni pod grozą mąk pie-

kielnych, zapowiedziano przyjazd komisji na miejsce w dniach najbliższych dla spisu i opisu tychże.

Słowa ściśle dotrzymano, komisja swe funkcje spełniła ku mej radości i uspokojeniu co do przyszłości resztek mego stada.

Do Chołojowa jednak fornalkę dostawić musiałem, i nazajutrz o ósmej rano już jestem na miejscu.

Kilka tysięcy koni zalega place i ulice częściowo w początku wojny spalonego miasteczka, przegląd interesujący i niewesoły pozostałych resztek.

Koło dziesiątej przyjeżdża naczelnik powiatu.

Widywaliśmy niejednokrotnie komisionującego c. k. starostę.

Mundur urzędowy, urzędowa szpada przy boku, teka urzędowa z urzędowymi aktami w ręce i mina urzędowa — a nie widzieliśmy jeszcze komisionującego cesarsko rosyjskiego naczelnika ujezdu.

Pisałbym się na sposób tego ostatniego, sympatyczniejsze to, mniej tek, aktów i wszelakich urzędowości, a już co najmniej w porównaniu z komisionowaniem c. k. starosty — weselsze.

Naczelnik powiatu witany jak zawsze przez tłumy wiernych hołdowniczo jako serenissimus w Simplissimusie, zajechał na gumach — po prawicy — szesnastoletnia czarna — po lewicy — piętnastoletnia ruda.

O! bo naczelnik mimo sześćdziesiątki z czubem, gorące miał serce — ufundował kaplicę prawosławną i — haremik.

Haremik skromny, bo wojenne czasy ciężkie, ledwie jedna czarna szesnastoletnia, druga ruda piętnastoletnia a umiał dobierać, obie milutki, i kochał się w kontrastach, jedna czarna, druga ruda, jedna pulchna, druga chuda.

U kół powozu witają do pasa zgięci trzej duszpasterze już brodaci, galancko jako francuscy kawalerowie z anno dazumal pomagają w opuszczeniu powozu kacykowi powiatowemu w czerkieskim barwnym stroju operetkowym, z puginałem przepięknie cyzelowanym, panienkom, rudej w ciemnych, czarnej w różowych muślinach.

Naczelnik kroczy przodem z miną Jowisza, wspinały w majestacie godności i władzy, krokiem Kotarbińskiego w Mazepie, panienki za nim u ramion księży proboszczów brodaczy dobrodzieji.

Dla skrupulatnej ścisłości jednak uzupełnić muszę, iż z trzech księży proboszczów brodaczy dobrodzieji dwaj tylko puszyli się zarostem istinno prawosławnym, trzeci mąż widocznie trzeźwo w przyszłość patrzący — nie wiadomo bowiem co jeszcze być może — zapuścił niby zarost, niby go nie zapuścił, ni to pies ni wydra — na wszelki wypadek.

W interesie prawdy i sprawiedliwości sumiennie podkreślić to muszę.

Tak kroczy komisya poboru koni przez szpaler czapek ziemię zamiatających, by zająć przygotowane miejsca na werandzie domu.

W środku cesarsko rosyjski naczelnik ujezdu, barwny ptak rajski, po prawicy czarna pulchna, po lewicy ruda szczupła, w głębi trzej księża duszpasterze, dobrodzieje.

Eureka!

Z głębokim ukłonem dla naczelnika i czarnej i rudej prezentuję akt mój.

— Zaczekajcie, ze Lwowa przyjadą oficerowie, im to oddacie.

Po godzinie nadjeżdża auto z przystojnym rotmistrzem i starym weterynarzem w głębi.

Panienci czekaniem znudzone gdzieś się zapodziały ku chwale i pożytkowi armji, bo marne byłyby funkcje urzędowe rotmistrza w sąsiedztwie ładnych dziewcząt.

Naczelnik czynownik w randze generała wita rotmistrza uniżenie i w toku procedury ze zdumieniem obserwowałem z jaką nonszalancyą rotmistrz traktował czynownika wysokiej rangi i wzajem jakie honory od tegoż odbierał.

Co kraj, to obyczaj.

Spotykając się po raz pierwszy z rosyjską komisją poboru koni niestety ciekaw byłem jakie też wymagania stawiać będzie.

Rotmistrz z tysięcy truchtem defilujących koni lepsze wybierał, odprowadzano je na miejsce uboczne i po dwu godzinach przegląd ten był dokonany.

Zarządzono potem ponowną prezentację koni poprzednio wybranych, przeprowadzano je w kole stępo i kłusem do utrapienia długo. Co kwadrans jeden odrzucony ubywał, a odrzucano mniej rosłe i mniej tłuste, albowiem tym wyłącznie względem kierowała się ta rosyjska komisja poborowa.

Więc klasyfikacja i ocenienie koni na miarę i wagę — rzecz całkiem nowa, a o ileby konie na rzeź zakupywano nawet praktyczna.

Z trzydziestu powołanych pozostało dziesięć wybranych, w tem gronie koni z mej stajni pochodzący, wierzchowiec, faworyt panny Ujejskiej z Pawłowa.

Koń bardzo okazały, jeneralski, chwilowo, gdy właścicielka za krajem bawiła, nie używany, a zbytnio karmiony z tłuszciochów najbardziej tłusty.

Pragnąłem konia faworyta uratować i w uprzejmych słowach upraszam rotmistrza, by konia nie brał. Odmówił — wprost nie rozumie jak mogę domagać się niemożliwości.

Nalegam.

Odmawia ponownie — nie mogę — a w duchu myśli zapewne — gdyż taki tłusty.

Proszę po raz trzeci.

— Skoro wam na koniu tyle zależy, bierzcie go sobie.

Pięknie podziękowałem i pomyślałem, czy w podobnych okolicznościach byłbym to samo uzyskał od oficera innej armji.

Rewię zakończono opisem zarekwirowanych koni. Co do wieku zasadniczo darzono wiarą właściciela, li wyjątkowo, gdy większa lub mniejsza ilość osadzonego tłuszczu nie zdawała się licować z większą i mniejszą ilością lat podanych, powstawał zamęt.

Na pierwszy ogień szedł wtedy przystaw, zaglądał w uzębienie i wyrokował.

Zdarzyło się, iż właściciel podał lat trzy, przystaw zaopiniował czternaście, przy tak niepośledniej różnicy wkroczył weterynarz, i dla zgody świętej uciął w połowie — lat dziewięć.

Zaintrygowany i ja na ustroniu w zęby zajrzałem, koń miał lat trzy, nie podlegało debacie.

Oczy skrupulatnie badał weterynarz, ino pojęcia nie miał do czego wziernik służy. Manipulował nim w pełnem świetle słonecznem w arcydziwaczny sposób, zapew-

niam z niemniejszym powodzeniem mógłby zaglądać w okolice ogona.

W Rosyi może być wszystko jest piękne i dobre, jednak stanowczo — nie — sztuka pisania.

Tam każdy pisze dla siebie, nikt pisma cudzego nie odczyta, a pisarz urzędowy — pozał się Boże!

Macza pióro w atramencie, potem strzepnie ruchem zamaszystym, ku przerażeniu i szkodzie garniturów obecnych i w dalszym promieniu, następnie szeroki ruch ręką, dwa razy w prawo, dwa razy w lewo, młyniec rozłożył, krąg fantastyczny, wreszcie z impetem i zgrzytem należytym kilka kleksów i parę liter zagadkowych spływa na papier.

Potem to samo da capo.

W ten udoskonalony sposób wypełnienie kilku formularzy na pobór należytości (205 rubli za mniej, 250 rubli za konia więcej tłustego), dla pisarza z mniejszą fantazyą kwestya kilku minut, przeciąga się przeszło godzinę, a mam uzasadnione wątpliwości czy żmudna praca literata urzędowego komukolwiek na użytek wyszła, gdyż nie wolno już było wyjeżdżać z powiatu, zaś kwity we Lwowie miały być wypłacone.

La comedia skończona, a dzięki niebu czekano z śniadaniem.

Gdzie spożyje Moskal śniadanie, to losów świata nie przeważą, niejednokrotnie jednak i z drobnostki wnioski wysnuwać można.

Tym razem stało się śniadanie kwestyą gabinetową, bo z drugiej strony zapraszał na przekąskę ksiądz brodacznik dobrodziej, z przesadną pokorą unizone bijąc pokłony, wznosząc dłonie niby w modlitewnej ekstazie ku niebu, to je pobożnie na piersiach składając, z głową kornie ku

ziemi przegiętą, z oczami w nadmiarze słodczy białkami wywróconemi, w słowach tkliwych, czułych — i zimną dostał rekuzę.

Przyjęto zaproszenie Polaka.

Ksiądz paroch i koledzy znikli jak splukani, a ja z towarzyszymi podzieliliśmy się spostrzeżeniem, że uczciwy oficer rosyjski gardzi — perekińczykiem i poszliśmy na śniadanie.

Przy stole, miejscem błogostawionem między panienkami obdarzono rotmistrza; czarna pulchna i ruda szczupła świergotały wesolo, biegła rozmowa o oczach błyszczących, białych ząbkach, licach różowych, ramionach okrągłych i dalszych przynależnościach sympatycznych.

Śniadanie transformowało się w obiad doskonały, nie brakło alkoholu, tak rzadkiego a tem bardziej pożądanego w tej epoce krwi i wody.

Po śniadaniu kawa, likiery, cygara i tragikomedia. Obie panienki zapakował rotmistrz w swój auto marki pruskiej Benz, motor zaszumił, znikł z oczów, zostawiając nagłym a niespodziewanym zwrotem boleśnie dotkniętego naczelnika, z otwartą buzią i z ogłupiałą miną.

Ptaka rajski ulewą zmoczony.

— Panie naczelniku! Nie wódz pan rotmistrzów na pokuszenie — przyciął ktoś z obecnych — a żyć będziesz w pokoju i doczekasz sędziwego wieku — uzupełniłem.

* * *

Każdy obszarnik bywa myśliwym, więc i ja nim byłem, zwierzynę nie tylko strzelam, ale i strzegę.

Przykro było nad wyraz przez jesień, przez zimę całą, dzień w dzień przysłuchiwać się strzałom niepowoływanych.

Łupili sarny przeważnie, bo zajęć zbyt jest płochy, kozioł czy koza — co wlaźło pod łufę.

Polowali czynownicy, polowali oficerowie, polowali żołdaci, co było i żyło, kto chciał i nie chciał, a prośby, przedstawiania na nic.

Niejednokrotnie straż leśna przed krewkim Czerkiesem, dzikim Kozakiem dońskim umykać musiała, bo kulą w łeb groził.

A chłopci, bezkarności pewni, zakładali sidła w tysiące.

Polował naczelnik, choć dygnitarz taki na straży prawa raczej stać winien, i sam się swych łowów rezultatem chwalił.

— Wczoraj w lesie waszym ubiłem dwie sarny, a patrzcie jaką mam strzelbę.

— Niczego — powiadam.

— Za pięć rubli kupiłem od krestijanina.

— Krestijanin ją pewnie we dworze ukradł — dodaję.

* * *

Z końcem kwietnia stoję na polu przy pługach w głębokim zwątpieniu, czy wogóle warto w ziemię niewyrobioną, zaperzoną, zachwaszczoną rzucić nasienie.

Do lasu mego z nagonką czterej wchodzi myśliwi, po chwili strzał pada.

Sarn w tych krzakach nie ma, jeśli choć jedna w lesie na pamiątkę została; w kwietniu zajęce strzelają!

Za dużo wrażeń dla utrapionej duszy myśliwego. Niech by dyabli tę hołotę wzięli!

Puszczam się w pogoń, dochodzę pierwszego, był to inżynier z kolei.

— Szanowny panie nadinżynierze! po pierwsze gubernator polować zakazał, (podobno wydał takie rozpo-

rządzenie) po drugie las i polowanie jest moje, po trzecie, myśliwy nie strzela zajęcy w kwietniu, bo mogą mieć młode, lub są kotne.

Groch o ścianę.

— Ani mruknął, ani się zwrócił, jak by mnie na świecie nie było.

Był może i głuchy i niemy i ślepy.

Podchodzę do drugiego, praporszczyk.

— Panie poruczniku! po pierwsze, gubernator polować zakazał, po drugie, las i polowanie jest moje, po trzecie myśliwy nie strzela zajęcy w kwietniu, bo mogą mieć młode, lub są kotne.

— A kłóż wam powiada, że strzelam zajęcia; ja strzelam do celu.

— Tu w gąszczu! nie wiem czy to wygodnie, może pan porucznik byłby łaskaw wyjść z gąszczu na łąkę, są tam pojedyncze drzewa, strzelanie do celu będzie ułatwione.

— Haraszo! I pod mym nosem spudłował zajęcia.

Idą do trzeciego, porucznik.

— Panie sztabskapitanie! (każdy awansował) po pierwsze gubernator recytuję da capo.

— Ta szczo! — burknął.

— Proszę żeby panowie łaskawi byli zaprzestać polowania.

W ciągu dysputy zbliżył się czwarty myśliwy, pardon kłusownik, także inżynier kolejowy, rozczochrana murga.

— A wy co tu chcecie? — huknął jak dzika świnia.

— Chcę abyś się pan wyniósł do dyabła i nie kłusował w mym lesie!

— Co! wy pędzicie ruskich oficerów, wy Paliak, ja was nauczę i — polowali dalej.

* * *

Prawo rybołówstwa na rzece Bugu jest własnością prywatną, niestety przez rząd administrowaną.

Dawniej przynosiło ono znaczne dochody w gotówce i ryb obfitość na stół. Po wprowadzeniu rewirów ryby in natura odpadły, czynsz zmalał do piątej części, i tę piątą każdorazowo niestęchanie trudno od władzy wyegzekwować.

Z czynszu za rewir tadańki, po przeprowadzeniu licznych procesów i odrzuceniu przez sądy pretensyj różnych gmin okolicznych, na podstawie ugody z uprawnionymi zawartej, pobieram sześćdziesiąt procent, resztę miejscowe probostwo łącińskie i gmina Tadanie.

Naczelnik skonfiskował zasiedziałe prawa wydając zarządzenie, iż kto chce i jak chce rybę, własność Pana Boga, łowić może, w ten sposób wyrządzając szkodę nie tylko chwilowo, ale na lata długie, bo wsie całe rzuciły się do węcierzy i wyłowiono wszystko.

Przedstawiam naczelnikowi bezprawność i szkodliwość jego zarządzenia.

A wrona która w powietrzu lata czy także wasza?
Na tej sentencji sprawa ugrzęzła.

* * *

Na każde żądanie chłopskie naczelnik wystawiał kwity z nakazem do pamieszczyka wydania drzewa, zboża, gotówki, w miarę apetytu i potrzeby indywidualnej pententa, choćby roszczenie było niczem nie usprawiedliwione, najbardziej fantastyczne, nie szanując od wieków uświę-

conej zasady — audiatum et altera pars — bo był dobroczynny z cudzej kieszeni.

Znosili więc chłopci przeróżne kartki, zbyt jednak prędko uprzykszyły się one.

— Panie naczelniku! Może byłby pan łaskaw nim pan kwit wystawi i mnie odrobinę przesłuchać.

— Czytacie moje kwity?

— Sylabizuję.

— Czytajcie dokładnie, ja dawać nie każę — ja proszę.

— Więc?

— Prośbę moją spełnić możecie, a jeśli nie chcecie — brzydko na mnie spojrzal — możecie nie spełnić.

Tak też czyniłem, kwity chadzały do kosza.

Śladem naczelnika poszli panowie wójtowie, na starostów modą rosyjską przechrzczeni, i oni, bo im we łbach przewrócić się musiało, kwity wystawiać poczęli.

Przybywa do lasu fur kilkadziesiąt z asygnatą od pana starosty . . . z Streptowa.

Pan starosta zarządza komu i jakie mam wydać drzewo.

Popędziłem do Kamionki, dałem żandarmowi kilka rubli i hołotę przegonił.

* * *

We wsi Rudzie w pobliżu Kamionki na łąkach nadbużnych pasło się w maju kilkaset koni z Rosyi sprowadzonych.

W początkach żądano po dziesięć rubli zadatku, resztę z ceny sprzedaży rozkładając na raty, później w braku nabywców, bo chłop w mych stronach nietylko

z inwentarza niczego nie stracił, nie jeden przeciwnie dzięki rabunkom posiadał inwentarz liczniejszy jak miał kiedykolwiek, dawano konie na kredyt bez zgoła żadnej opłaty z góry. I te udogodnienia powolnego zbytu koni nie przyspieszyły, dlatego ostatecznie zaofiarowano je pamięszczykom na wypląt dwuletni.

Otrzymawszy zawiadomienie o tem ostatniem zarządzeniu wybrałem się do Rudy. Zastałem jeszcze około trzystu koni, powietrzem żywionych i wodą na łąkach dawno wypasionych. Wybrałem dziesięć sztuk w możliwej kondycyi i wiodę tabun do urzędującej na łące komisyi, złożonej z podoficera, pisarza cywilnego, kilku żołnierzy i — damy.

Dama w szlafroku bardzo wzorzystym, barwnym i przejrzystym, z głębokim dekoltem u góry i dołu, łat około trzydziestu, o rysach pięknych, ale jak postać cała obficie tłuszczem zalanych, na chuście niedbale ułożona w słodkiej beczynności żołdatów kokietowała i pisarza.

— Cóż to za lafirynda — już miałem zapytać, ale opatrność czuwała, spytałem — kto to ta urocza pani doktorowa — nadając tytuł dla zamarkowania uszanowania.

— Pani jenerałowa, odrzekł pisarz.

Złożyłem ukłon odwzajemniony skinieniem głowy, uśmiechem rozkosznym, a jeśli mię zmysł wzroku nie mylił, także szarpnięciem pulchniutką rączką szlafrocza nieco jeszcze w górę.

Rychło załatwiono sprawę urzędową, konie spisano i oszacowano, tym razem nie na miarę i wagę, ale kierując się wyłącznie wiekiem.

Koń ośmioletni kosztował rubli dziewięćdziesiąt, za każdy rok w górę pięć rubli mniej, rok w dół pięć

rubli więcej. Wiek oznaczał podoficer, zdaje się z oczów, bo w zęby nie zaglądał wcale.

Konia czternastoletniego dano mi jako sześciolatniego i wice versa, ostatecznie wypadło zwierze z podarunkiem na czaj po osmdziesiąt sześć rubli i sumę taką warte było.

Odesłano mnie potem do załatwienia dalszych formalności do pana generała na probostwo.

Generała w domu nie było, niebawem miał z Kamionki powrócić.

Po dwu godzinach nadjechał, lecz przyjąc mnie nie mógł, bo, jak kazał oświadczyć, czuł się bardzo zmęczony, a jak mi w sekrecie powiedziano, był najzupełniej pijany.

Czekałem nowe dwie godziny, tem pocieszany, że bywa, czekają ludzie od rana do wieczora, bo generał — czasami jeszcze, często już — o świcie na zmęczenie cierpi.

Przecież zmęczenie minęło, nie bez śladów jednak, generał chwiał się na nogach i roztaczał przedziwną woń oczyszczonej z zapachem juchtu koleżańsko zmieszaną.

Generał mówił po polsku.

— Mnie właściwie nie wolno właścicielom dóbr koni dawać na kredyt, czynię to na własną rękę, wbrew nakazowi, bo jestem generał sprawiedliwy, mam także dobra w Rosyi, a w Piotrogradzie mieszkanie z czternastu pokoji.

Biję w pokłon przed sprawiedliwością, dobrami i mieszkaniem.

— Widzę jak tu panów porabowano, wy nic nie macie, a chłopci wszystkiego w bród, dlatego daję wam konie.

Chylę głowę dziękując za względy.

— Nie potrzebuje pan dziękować, postępuję zasadniczo, wyjątków nie robię i nic za to nie biorę.

Mąż opatrnościowy!

Kwit dłużny podpisałem, zapłaciłem po cztery ruble od konia za pastwisko, kwotę przeznaczoną dla właściciela łąki, który naturalnie jej nigdy nie ujrzał i audiencya skończona.

Powracam po konie na łąkę, zastaję w kąpielu nimfę, bogatą w pulchnoty, (aż mi świat obrzydł) i cenzury wesoło igrające.

Tam generał zmordowany oczyszczoną, tu generałowa z żołdatami robiąca Ostendę.

Co kraj to obyczaj!

* * *

Zdała z Karpat, z pod Koziówki, gdzie tygodnie krwawiły się śniegi, z pod Przemyśla, przez zimę całą aż w moje strony słaby dolatywał odgłos kanonady.

Dzień w dzień słuchaliśmy armat, ich jęk spiżowy był naszym barometrem wojennym, grzmiąły głósniej, biuletyn pomyślny, cicho tak cicho, iż ucho ledwie ślady odgłosu uchwycić zdołało — niefortunnie się dzieje.

Armaty zdradzały nam tajemnice działań wojennych, niejednokrotnie może bliższe prawdy od komunikatów oficjalnych, choć przyznać trzeba, że tając klęski częściowo, na ogół w zwycięstwach nie przesadzali.

Zdaje się jednak w dalszym przebiegu działań wojennych zmienili się w tym względzie radykalnie. Pada forteca za fortecą, niby domek z kart dmuchnięciem zburzony, wojska austriacko - niemieckie pod Brześciem

a sztab jeneralny rosyjski głosi z ukontentowaniem — tu ich mamy, gdzieśmy ich mieć chcieli.

Tak dalej, gdy sprzymierzone wojska wejdą do Piotrogradu, zapewne generalissimus świata zwycięstwo wojsk ruskich otrąbi.

Gazet nie miewaliśmy, wyjątkowo traf szczęśliwy przynosił egzemplarz w prezencie i książek nie było, bo książki zabrali chłopci kultury chciwi, by spieniężyć u żydów, i gospodarki nie było.

I byłbym z nudów urwał się niechybnie, gdyby nie względy ujezdu. Częste cytacye, rozliczne pretensye trzymały nerwy w pewnem naprężeniu, ratując od nudy śmiertelnej, i chłopci, rznąc przedziwne kawały, także bawili jak mogli.

Do Lwowa nie zaglądaliśmy często.

Pusto, brak znajomych, przygnębienie, ryzyko utraty wolności przy białej kawie w każdej kawiarni, skąd tłumami na policyę goniono, podejrzliwe oczy pań i panów z ochrony -- nie było po co.

Wypadkiem byłem we Lwowie w dzień pamiętnej strzelaniny, było to jeszcze w jesieni, jeśli mnie pamięć nie myli.

Stałem przed hotelem Georga.

Strzelają, nic dziwnego, strzelali często do aeroplanów.

Strzelają coraz gęściej.

Po chwili oddział kozaków wyjeżdża z ulicy Akademickiej, formuje się na placu Maryackim, część puszcza się galopem ku kościołowi Bernardynów, reszta w ulicę Karola Ludwika, a strzały grzmią na całej Lwowa przestrzeni.

Nie dobrze, walka uliczna, prawdopodobnie robimy powstanie.

Nie wtajemniczony w organizację dmucham ku pasażowi Mikolasza, gdzie przed nosem dozorca zatrzaśkuje mi bramę, potem skoro przed szarżą kozaków bezpieczny pasaż przyjęcia odmówił, biegnę ulicą Lindego na plac Dąbrowskiego.

Tu przegrupowuję się, bo ciekawość przemaga, powracam na Karola Ludwika zajmując pozycję defenzywną za węglem domu. Potem puszczam się w ofensywę, stąpając ostrożnie na pałcach, jak gdybym obawiał się obudzić chorego, ku figurze Matki Boskiej na placu Maryackim, posiłkowany szerszym gronem równie ciekawych

Nieznany towarzysz konwulsyjnie za ramię mnie chwyta.

— Panie uciekajmy, tam z okien strzelają! — i wskazuje ku Halickiej. W istocie z okien padały strzały, zapewne strzelali żołdaci.

Dziwnem jest człowiek stworzeniem, po ulicach śmierć niosą kule wcale nie na żarty, a ciekawość górą nad popędem samozachowawczym.

Kilka, jeśli nie kilkanaście tysięcy strzałów wygrzmieli Moskałe, z jakiego powodu, konia z rzędem kto powie, w jakim celu, kto odgadnąć zdoła, zabili kilkunastu żydów i mnóstwo posiekali murów.

* * *

Minęła zima, zabłysło słońce, zazieleniały drzewa, zakwitły bzy, zaśpiewały słowiki, drąc się dzień i noc monotonnym kurantem ku utrapieniu ludzkiemu, a strzały umilkły, mimo, że sprzymierzone wojska już pod Gródkiem i Stryjem boje toczyły.

Najpewniej drzewa okryte pancerzem liści, zboża podrosłe, tworząc wał nieprzenikliwy chwytały odgłosy armat, tak iż choć linia bojowa o tyle bliższą była, echa armatnie ucichły.

Plug orał ziemię, brona skrudziła, słońce za lasem wschodziło jak dawniej, spokój pozorny pozwalał zapomnieć, że wojna ku nam huraganem ciągnie.

Z sennego otrętwienia zbudziły znów strzały armatnie, potem szły fakta szeregiem nieprzerwanym niosąc nam drugie wydanie wojny w edycji poprawnej.

W jesieni mieliśmy tylko preludjum.

Jako pierwsze ptaki odlotne cofającej się armii ruskiej przybyli dwaj oficerowie z kilkunastu furgonami i kilkudziesięciu ludźmi dla założenia telefonów i telegrafów polowych.

Byli to ludzie prości, aczkolwiek nosili na piersiach odznaki akademickie; gdy któremu przy stole podano po raz wtóry półmisek, wdzięcznie dziękował — spasi bo wże się obżarł — lecz nie rabowali i oddział swój trzymali w należytej dyscyplinie.

Bawili kilka dni przez nas goszczeni, albowiem utkwily nam w pamięci moskiewskie roszczenia z jesieni — gdybyście byli w domu siedzieli i wojska nasze gościli, nie wyrządzonoby wam żadnej krzywdy.

Zapłacili za spalone siano, za drzewo do kuchni polowych zużyte, nawet płacący wyrzuty mi czynił, że za skromnie liczyłem — przecież nasz rząd ma diengi pod dostatkiem.

Za nimi przybyło ze czterysta podwód z kilkuset ludźmi pod komendą pięciu oficerów, rangą najstarszy był, jak dowiedziałem się przypadkiem, z zawodu szynkarzem

z Kijowa i rozpoczął się krzyż pański, jak to bywa w podobnych okolicznościach.

Soldaci rekwirując gdzie i co się dało, poza tem bez ogródek okazywali zupełne zniechęcenie do dalszej wojenki i rozpowiadali głośno, iż broń rzucają, gdy staną tylko w granicach państwa ojczystego; szynkarz komendant natomiast pełen był animuszu i fantazyi wojennej i lada dzień miał do Berlina nawracać, sądzę nie tyle ku chwale matuszki Rosyi, ile ku pożytkowi własnemu, albowiem niezłe mieć musiał z wojny pożytki, obfitsze pewnie, niż w domu z szynku rodzimego.

Na paszę dla koni zakupił trzydzieści morgów koniczyzny na pniu, łan w jego obecności zmierzyłem dla uniknięcia możliwych zarzutów w tym kierunku, a zobowiązał się zapłacić po dwanaście rubli za morg, narzekając iż drę go ze skóry, choć koniczyzna co najmniej cenę podwójną wartość była. Kazał dostarczyć sobie dziesięć sągów do kuchni polowych.

Miałem w stajni dziesięć krów, w jesieni od chłopów odebranych, w chlewie siedm świnek podtuczonych, i jedno i drugie komendant zarekwirował, oznaczając cenę po rubli pięć za bydło, rubli sześć za świnki za pud żywej wagi, cena do przyjęcia zwłaszcza od rekwirującego komendanta, ostatecznie możliwa. Z rekwizycyi tej po części nawet kontent byłem, bo przewidywałem co się z tym stanie, gdy nadejdą kozacy.

W ciągu dziesięciodniowego postoju komendanta i trenów jego, po kilka razy dziennie domagałem się zważenia bydła i nierogacizny i wyrównania należytości, komendant co raz nowe znajdował przeszkody i nie było sposobu nakłonić go do spełnienia tych czynności.

Dziesiątego dnia o dwunastej w nocy przysłał pomnie dieńczyka, wzywając do obliczenia się — rachuje:

— Za dziesięć morgów koniczyny należy wam się sto dwadzieścia rubli.

— Skosił i spał pan trzydzieści, należy mi się trzysta sześćdziesiąt rubli.

— Za dziesięć morgów koniczyny sto dwadzieścia — powtarza głosem podniesionym.

— W pańskiej obecności mierzyłem, zgodził się pan na pomiar, morgów trzydzieści, rubli trzysta sześćdziesiąt.

— A zatem za koniczynę sto dwadzieścia rubli, nic więcej nie dam, bo wy fałszywie mierzyli.

— Za sąg drzewa należy wam się rubli ośm.

— Za dziesięć sągów rubli sto — poprawiam.

— Za dziesięć krów rubli siedemset pięćdziesiąt.

— Za krowy, panie komendancie, należy mi się wedle naszej umowy po pięć rubli za pud, wypadnie wedle mej oceny sztuka przeciętnie po sto siedmdziesiąt rubli, razem tysiąc siedemset rubli, choćmy ważyć.

— Nie mam na to ochoty ani czasu, cenę po siedmdziesiąt rubli za sztukę, więcej nie dam, a świń wcale nie biorę bo ich nie potrzebuję.

Pieniądze na stół wylicza.

— Panie ja tego nie wezmę.

— Więc wy gardzicie russkimi pieniędzmi!

— Bynajmniej, bardzo szanuję i dlatego właśnie chciałbym większą porcyę uzyskać, to co mi się należy i co mi pan zapłacić musi.

— Więc nie bierzecie?

— Nie biorę.

Komendant pulchnymi palcami pieniądze ściąga skwapliwie.

— Rekwiruję bezpłatnie.

Chcąc nie chcąc brać muszę co mi dawał i pięknie dziękować w dodatku, bo mąż zacny oświadczył, iż kto inny byłby kopiejki nie płacił, niech Bogu dziękuję, że z nim mam do czynienia.

Tej samej nocy o drugiej wyjechali, nie zapomnieli jednak wyewakuować świnek, mimo że ich nie potrzebowali wcale, a ja kwikiem zbudzony pobiegłem do chlewa i bohatercko broniłem nierogacizny.

• Nec Hercules contra plures.

Do dnia liwerant przepędzał popod folwark stado bydła, były tam i moje krowy, bo przemysłowy komendant zarekwirował je w tym celu, by odsprzedać natychmiast z zyskiem najmniej stuprocentowym.

I dziwić się, że bohater chciał maszerować na Berlin!

W międzyczasie zabrano mi całą fornalkę, dwadzieścia kilka koni, które przepłacając w ciągu zimy kupiłem, i te które od rządu na kredyt dostałem, wszystkie wozy — bez pieniędzy i kwitów, bo to po wojnie zwrócimy.

W dniu, w którym wyjechały treny, przyjechał urтник z kilkunastu żołdatami po źrebięta.

Prezentuję dokument wzbraniający rekwizycyi — nie lizia — dokument podpisany przez pułkownika Kamerjunkra Oetingena i przez naczelnika powiatu, koni ruszać nie wolno — nie lizia!

Dokument nie wywiera żadnego wrażenia, mimo podpisu, pieczętki.

Mam rozkaz zabrać wszystko, dwie kłacze, trzydzieści dziewięć źrebiąt, a jutro będziemy — ludzi zabierać od lat ośmnastu do pięćdziesięciu. Najlepiej zrobicie, jeśli z końmi waszymi do Rosyi pojedziecie, pakujcie się natychmiast, a żona niech z wami jedzie.

Najmniejszej nie poczuwamy ochoty do dalszych stosunków z św. Rosyą, już na miejscu mieliśmy jej wyżej uszów.

Przedstawiam uriadnikowi, że na oczekaniu wyjechać nie sposób, muszę przecież konieczne zarządzenia wydać, musimy się spakować, jutro wyjedziemy najpewniej i konie dogonimy; żona moja tymczasem z chłopem stajennym ze źrebiąt pościągała uzdy i pochowała, bo bez uzd źrebiąt nie wezmą.

Tak też się stało, źrebiaczki w pola poszły, uriadnik odjechał z niczem — przyrzekając, że nazajutrz z uzdami powróci.

My za nim do pana naczelnika domagać się cofnięcia bezprawnego zarządzenia, stojącego w rażącej sprzeczności z zapewnieniami pułkownika Oettingena i z jego własnym podpisem na liście ochronnym.

Naczelnik oświadcza stanowczo, że konie zabiera, ma w tym kierunku specjalne rozporządzenie od pułkownika Oettingena, bo inaczej wezmą je Germańcy.

— Panie Naczelniku! Germańcy roczniaków siodłać i zaprzęgać nie będą.

— To je zeżrą!

— A list ochronny?

— My też właśnie wasze konie chronimy.

Nie zła obrona — auf Nimmerwiedersehen!

Pan pułkownik Oettingen miał rzeczywiście jak najlepsze zamiary dla resztek stad galicyjskich.

Po długich naleganiach i prośbach naczelnik własnoręcznie z listy dwie klaczki trzyletnie wykreślił, notując, że zginęły, a do mej żony na uboczu powiedział — ja waszego męża nie wywiozę, niech się jednak strzeże kozaków.

W gruncie nie był to zły człowiek, choć dobrze dał się we znaki.

* * *

Nazajutrz o świcie dają mi znać, że kilkadziesiąt podwód wojskowych z Kamionki zajechało do sterty na łące i siano zabiera. Podążam na miejsce, komendant oddziału pułkownik mówiący, doskonale po polsku, zapewnia że zapłaci za siano i wymienia za wóz cenę zupełnie przyzwoitą.

Naładowali ledwie kilka furgonów, gdy na koniu zdyszonym nadjeżdża żołnierz z meldunkiem, poczem towarzysztwo wprost przez pola zasiane galopem ku Kamionce odjeżdża. Mimo tak gwałtowny alarm pułkownik za siano naładowane należycie wypłacił do kopiejki, niesłychana rzadkość, kruk biały wśród tych panów.

* * *

Teraz należy chować się przed kozakami, Moskale uciekają, za godzin kilka, za dzień może, przyjdą austriacko-pruskie wojska!

Jak zając spłoszony z łąki gonię do domu, tarabanię się na dach mego domu, w zaciszne miejsce dawno upatrzone, tam wśród gzymsów będę bezpieczny, żona zaś pozostaje w mieszkaniu, bo kobiet przecież wywozić nie będą.

Dom mój wystawiony wedle planów architektki Zachariewicza, krótki, nieproporcjonalnie wysoki, niezawodnie byłby wielce efektowny jako wille w zabudowanej ulicy, z dala jednak widziany kształtem pianino przypominając, na dwór wiejski miał wcale dziwną architekturę. Widocznie zapomniał pan Zachariewicz, że co wieś, to nie miasto.

Na nieproporcjonalnie wysokim dachu nieproporcjonalnie wysokiego domu układam się na materacu już przygotowanym i patrzę w niebo, bo nie znosząc wszelakich wysokości, obawiam się zawrotu głowy. Słońce parzy niemiłosiernie, materac po śliskiej dachówce usuwa się z pod ciała, a obawiam się ruszyć, by nie czynić hałasu i zwrócić uwagi na siebie.

Stanowczo brakło na dachu komfortu.

Mija dzień; wieczór służący, któremu bezwarunkowo zaufać mogłem, przyniósł posiłek.

W nocy ulewa, następnego dnia leje z przerwami, klnę jak Węgier, bo przez całe dwa miesiące nie było kropli deszczu, a teraz jak na kpiny otwarty się służy, lecz szczęściem lada chwili majówka zakończyć się musi, bo wybawicie!... tuż... tuż.

Mija i drugi dzień, w przeciwstawieniu do poprzedniego upalnego mokry i zimny, z każdej beczki po troszeczkę, nadchodzi noc i z nią służący z kotletami i wiadomością, że był uriadnik z uzdami i źrebięta zabrał, pani jednak, prócz klaczek przez naczelnika wykreślonych, jeszcze dwie dalsze podstępem uratowała, i z drugą niemniej rozkoszną, iż mam natychmiast uchodzić, bo na folwarku są kozacy, wypytuja za pamieszczikiem, a przywieźli żelazne beczki z płynem zapalnym i grożą, że w nocy dom i folwark spalą.

Nie uważałem wiadomości ostatniej za nieprawdopodobną, bo w jesieni jeszcze uprzejmie przyrzekał naczelnik, iż palić będą, gdyby się cofać mieli i dla wroga nic nie zostawią podobnie jak w roku dwunastym.

To — nic — w mym powiecie miały dwory zniszczyć, bo siół z rozmysłem nie palili przynajmniej z tej strony Bugu, a co po tamtej, nie wiadomo jeszcze.

Lecz bez rozmysłu pogorzały w ogniu armatnim liczne gospodarstwa chłopskie, wsie całe, a chłop zapoznał się z starem przysłowiem, że każdy medal dwie miewa strony, a wojna nie kończy się na cukierku ograbienia dworu i miasteczka.

— Kużdaja ricz maje swoju szatenseitu.

Gdy zbliżyła się chwila krytyczna, starałem się pocieszyć — strachami na Lachy. Mimo to nie odczuwając potrzeby uwędzenia się żywcem, w nocnej ciemności, z nielada trudem po różnych poprzystawianych drabinkach, opuszczam moje schronienie podobłoczne, i z żoną chyłkiem przez ogród, przelazłszy parkan, idziemy w las. Niestety podpatrzył nas jakowyś chłopek, nazwiskiem Prytułka i jak to na chłopa przystoји, (opowiadali mi o tem naoczni świadkowie) w tej chwili do kozaków popędził zawiadamiając, że didic i hazajka w las uciekli, uniceswając tem samym zręcznie przez żonę puszczoną pogłoskę, iż do Rosyi za końmi wyjechałem.

Zapędziliśmy się w gąszcze leśne, zimno było, wietrzno było, mokro było a odsieczy jak niema tak niema.

Bardzo jest pięknie w zielonym lasku, piękny wschód słońca, barwne ptactwo budzące z uspienia, ale w wilgotnych osokach do nitki zmoczonym, bez chleba kawałka, brak nam było poczucia dla natury uroków.

Wilegiatura i tydzień potrwać może, choć huk armat, nie milknący trzask karabinów rychłe oswobodzenie przynieść nam winne.

Co dalej!

Chodźmy na leśnictwo.

Przez gąszcze leśne przekradając się ostrożnie, zatrzymujemy się w pobliżu leśnictwa i z krzaków ku leśnictwu zerkamy.

Niebawem leśniczyna wychodzi z domostwa.

— Co słyszeć?

— Wieczór byli kozacy, szukali za panem.

— Gdzie mąż?

— Pod drzewem schowany.

Kilkaset progów z lasu, by chronić przed chłopami, na leśnictwo zwiezionych, wał drzewa tworzyło, pod nim leżeli schowani leśniczy, profesor gimnazjalny z Kamionki, miejscowy kierownik szkoły ludowej i nauczyciel z wsi sąsiedniej, ukrywając się przed jazdą szupasem do Rosyi.

Leśniczyna wskazuje mi schowek.

Pod progami w rowku pięćdziesiąt centymetrów głębokim leżeli ci ludzie bez ruchu, bo na ruchy miejsca nie było, gdy deszcz padał przeciekając między szczeliny, w wodzie i z góry i z dołu, opuszczając norę nocami na chwilę, chcąc pogięte wyprostować kości. Na razie w humorach najlepszych, bo kryjówka przepyszna, sam Bezebub nie odkryje, a przebywając w niej zaledwie od dwudziestu czterech godzin, czują się rozkosznie, jak nigdy w życiu. Wytrwali tam dziesięć dni i nocy dziesięć!

Winszuję, niezazdroszczę, bo nad ludzkie to i nad moje siły.

Nie przyjmuję oliarowanego gościnnie apartamentu pod progami, natomiast dowiaduję się ku niemałej radości, iż w pobliżu w lesie wykopano i wybudowano kazamaty podziemne, by w razie potrzeby mieć schowek przed kulami. Jama każda dla siebie równa salonowi, a całość Przemysł udaje szaniami zastaniającymi otwory wchodowe, wszystko razem przystań bezpieczna przed pociskami z ręcznej broni i szrapnelami, zaś przepisu niema, by koniecznie miał się tu granat zabląkać.

Mimo wszystkie zalety warunku kardynalnego brakło, nie był ten schówek bezpieczny przed pościgiem i okiem kozaka.

W tym duchu fort reformuję natychmiast.

Przy pomocy służącego, który w krzakach pod dworem noc spędziwszy nadszedł z wieścią, iż folwark dotąd nie spalony, kozacy wynieśli się na wieś, a we dworze zakwaterował się pułk piechoty, bez zwłoki do pracy się wziąłem.

Część jednej z jam, a razem było ich cztery, przegradziłem wewnątrz deskami, by ukryć deski wnętrze mchem wyłożyłem, w ten sposób tworząc zakamarek oddzielny, przed okiem ukryty kompletnie.

Wczołgać się tam należało podkopem, a siedzieć w dwoje zgiętym w norze ciemnej, dusznej i wilgotnej.

W czasie, gdy inżyniera robiłem, żona poszła na folwark — przyjmować — oficerów.

Gdyby był Pan Bóg nie stwarzał kozaków, zwłaszcza dońskich, Czerkiesów, Czeczeńców i jak tam inaczej zwie się wszelka podobna rabuśnicza hołota, byłoby może jako tako, jak na czasy wojenne, istnieć z ruskimi wojskami.

Nie doznała też żona żadnej przykrości ze strony na folwarku kwaterującej piechoty, oficerowie byli nader grzeczni, żołnierze przyzwoici, a że rozebrali i spalili w braku innego drzewa kilkadziesiąt metrów parkanu, z tego trudno im czynić zarzuty, bo i ruski żołnierz jeść musi, a je mięso gotowane.

Przed wieczorem piechota w dalszą ruszyła drogę. Jedną bramą ostatnie szeregi folwark opuszczały, drugą wrócili kozacy.

Krzyż pański!

Żona uciekać musiała przez okno, ogród, parkan, i zdyszana przybiegła do leśnej fortecy, już wyekwipowanej należycie także w materiał wojenny w nowożytnej strategii, (w obec tyłu milionów jeńców, jak się zdaje najniezbędniejszy), w drążek z białą szmatką u końca, albowiem postanowione było oddać fortecę na łaskę i niełaskę temu, kto prędzej przyjdzie.

W fortecy przedziwnie wygodnie, lecz w gąszczach leśnych bezwarunkowo bezpieczniej, a gdy kozacy ściągając tu na nas natrafić mogli, w las się galopem puszczamy.

Za nami goni jamniczek, luba psina, wielce uradowany, gdyż trafił na tropy zająca i szczeka wesoło, zdradzając kozakom naszą linię przegrupowania się.

Chwytam psinę na rękę i garścią zaciskam pyszczek hałaśliwy, wywołując w ten sposób rozpaczliwy lament.

Nie było wyjścia — rznę głową o drzewo.

Została psina na miejscu, a nazajutrz przywłókł się z wylupanemi oczami, z połamanemi nogami i prosił aby go dobić.

Okropność.

Noc spędzamy w krzakach, tym razem przynajmniej sucho, o świcie do fortecy wracamy.

Wieczór byli kozacy, szukali, wypytywali kobiety z leśnictwa.

Rozkwaterowujemy się w forcie, żona, kucharka stara z córką, służący i ja zajmując mój apartament oddzielny; w trzech kazamatach pozostałych zamieszkiwały rodziny leśniczego i gajowych, jedną zajęła polska familia chłopka z Tadania.

Służący w ciągu dnia poznosił z dworu futra, które we Lwowie zostając w przechowaniu ocalały przy inwa-

zyi, po to, by już po odejściu Moskali ulotnić się niby kamfora z wszystkim co w jamach było, i tem urządziliśmy przebytek podziemny wcale po pańsku.

W nocy mieliśmy odwiedziny kozaków, sprowadził ich chłop za dziewczkę przebrany. Schowany w mym loszku tajemnym niestety nie oglądałem gagatka i gotów mi przepisać rachunek nie wyrównany.

Kozacy po przeglądnięciu jamy odeszli z niczem nie znalazłszy mnie za mchem i deskami.

Trzy dni przetrwało się w lochu, trochę nad lochem, udając lisy na słońcu wylęgte; karabiny, armaty to grzmiały, to milkły ku naszej rozpacz.

Pewnej nocy szczególnie wrzała walka zacięta w pobliżu, huk, trzask, łomot, syk lecących szrapneli, beczących granatów, potem sygnały trąbkowe — cisza — szturm — bagnety topione w wnętrznościach.

A dnia następnego miast oswobodzenia znów spokój beznadziejny.

W kazamacie gotowaliśmy kaszki, herbatki, mieliśmy chleb, szynkę trochę odleżałą, a mleka i masła z leśnictwa obfitość i działało się jako książętom na tronie udzielnym, gdy towarzysze z pod progów już krzynekę szemrali; tylko schówek mój był mi nieco za wąski, nieco za duszny, wilgotny i ciemny, a brak w nim było rozrywki wszelakiej, gdyby choć — kino — Zigomar czyli wzruszający dramat siedmiu braci i ich matki, starej panny.

Aż jednej nocy przywidziało mi się w półjawie, że żywcem w grobie pochowany leżę — pa loszku kochany!

Sekundy nie byłem w stanie wysiedzieć w nim dłużej, dławilem się, dusilem, gdy nadto chłopci zaintry-

gowani, którzy wywiało — didica — zbyt natrętnie buszowali w pobliżu, wypatrując mnie ciekawie, z żałością loszek porzucić miałem i w świat poszedłem szeroki.

Coś około tygodnia, bo w mych peregrynacjach rachubę czasu straciłem gruntownie, po lasach, jarach, łąkach, polach, rowach, codziennie podniebne zmieniałem mieszkanie, przed chłopów pościgiem, pogonią kozaków.

Służący zawsze poinformowany w których mniej więcej ma mię szukać stronach, chleb mi przynosił, mleko i wodę, a nawet tytoń.

Bardzo romantycznie bywać Robinsonem, jednak nie w porze deszczowej obficie lało i dokuczliwie, i samotnej wędrówki miałem wyżej uszu, gdy towarzysza niedoli posiadałem niespodzianie.

Był nim gospodarz pewien ze wsi Streptowa, Ukrainiec uczciwy, jak ja przez Moskali ścigany i sąsiadów. Już go raz nawet w swe szpony chwycili, lecz uciekł i krył się skwapliwie.

Z nastaniem nocy mój towarzysz nowy do polskiej mnie wiedzie chaty — tam nas nie zdradzą, przeocują i nakarmią czem mają.

Samotnie stała chata wśród lasów, dwie jednak mając sąsiadki.

— Ostrożnie — przestrzega — w tych chatach najgorsi moskalofile, jeśli spostrzegą, sprowadzą kozaków.

W polskiej chacie serdeczne znajdujemy przyjęcie, Polak, Ukrainiec wspólną złączeni niedolą. Gospodarz, gospodyni, ich córka, młodzianka, ładna dziewczyna, goszczą jak mogą, radziby nieb przychylić.

Dają nam nocleg wykwinny na wonnem sianie. Gdy śpimy, gospodarz wartę pełni przed stodołą.

O świcie dziewczyna podaje śniadanie, potem znów w lasy i pola idziemy, chleb biorąc i wodę.

Wieczorem z pagórka, skryci w chłopskim życie, kłęby dymu widzimy do koła.

— Palą folwarki!

— Patrz pan — to płonie pański folwark w Żelechowie małym, tam Niestuchów, Żelechów wielki, Zadzórze, Ubinie, to folwark brata — ten palił się cudownie, bo dużo liczył budynków drewnianych — tam Nahorce, Sokole, tu gorą Derewlany, to zdaje się dwór będzie pański w Tadaniu!...

— Niezmiernie mi miło!

— Jakto pan się cieszy?

— Dziś palą, jutro pewnie pójdą do stu dyabłów, i wolni będziemy nareszcie.

Wszystko inne obojętne mi było w tej chwili, tak już moje wyczerpałem nerwy, tak byłem fizycznie znękany.

Dziewięć gorzało folwarków dokoła, na cześć cara krwawe iluminując pobojowiska, ku chwale ruskiej armji, podpalaczy dzikich, a nam — ku ruinie!

O miejsca pod kościołem walki staczać będziemy, bo każdy zechce zakątek spokojny, gdzie niema przeciągów.

Ferbelka zagramy, zdaje mi się bowiem, iż wisty wszelakie na schodach podkościelnych nie bywają w modzie.

* * *

— Nazajutrz już o świcie pojedynczy Moskale, różni chłopi podejrzeni, snuli się w pobliżu, wprost przeszukując

krzaki i łany; musieliśmy w chałupie pozostać i w niej poszukać za schowkiem bezpiecznym.

Znalazł się taki.

W sieniach była jamka o pojemności kubicznego metra, w nią pakujemy się obaj niby groch z kapustą, a nieszczęściem towarzysz mój był chłop rośli i tęgi.

Nad naszymi głowami ustawiają pakę.

Siedm tam wysiedzieliśmy godzin, zdawało się wieczność.

Koło południa nieco odchylając pakę powiada dziewczyna.

— Patrol idzie!

Nam serca biją gwałtownie, może wyzwolenie.

Po kwadransie stuk kroków, szmer głosów dolatuje z góry, słucham — mowa czeńska.

Towarzysz chce wyłazić, harmider srogi czyni.

— Cicho! Mogę się mylić, może to Moskale, przecież nas puszcza, jeśli przyszła patrol austrijacka.

Mija z pół godziny.

Wreszcie odsuwają pakę — są nasi!

Ufff!!!!!!

Wszystko popłakane, o nas w emocyi zapomnieli.

Kapral i trzej żołnierze w izbie popijają mleko

— Haben sie vielleicht Cigaretten — łamaną niemczyzną zwraca się do mnie.

— Haben sie vielleicht welche, panie kapralu.

I ściskamy sobie dłonie żałując, że jeden drugiemu papierosem usłużyć nie może.

* * *

Po chwili patrol w dalszą ruszył drogę, ja zaś gorąco dziękuję gospodarzom za serdecznie udzielony

przytułek i — last non least — wręczam sto rubli z ubrania wyprute, na wyprawę dla dziewczyny.

Odmówił przyjęcia.

— Pan Polak, ja Polak — gdzieżbym brał za to!

* * *

Byłoby to bardzo z mej strony niepoczciwie, więc zamilczeć wolę i słówkiem nie wspomnę, mimo iż rzecz aż się prosi na papier.

Przed chatą gospodarza leżało sporo materiałów drzewnych, i choć na nie bynajmniej nie zwracałem uwagi, sam gospodarz począł się tłumaczyć.

Brali inni, więc i ja wziąłem, ale oddam wszystko lub zapłacę.

— Erkläre mir Graf Erindur diese Zwiespalt der Natur! Rubli wziąć nie chciał, a drzewo brał bezprawnie.

Vis major! Niechybnie.

* * *

Wybieram się z powrotem na leśnictwo, a należało być ostrożnym, by nie trafić na patrol, który w lasach jeszcze błąkać się mógł, i nie wpaść post festum w łapy moskiewskie.

Zbliżam się do celu.

— Halt!

Przypominają mi się dawne dobre czasy, kiedy to jeszcze czwórka jeździłem.

— Jest panie, jest! — i dobywam legitymacyę z jesieni, zębem czasu nadwerżoną.

— Nem tudom!

Masz babcio redutę! i ja nem tudom.

Jeden żołnierz z warty polnej bierze mię w opiekę i wiedzie do komendanta batalionu.

Jakiś wagabunda przyłapany — zapewne melduje, bo wyglądałem świetnie.

Kapitan po zaprezentowaniu się z mej strony, o mym losie przez żonę poinformowany, wita mnie serdecznie, rękę ściska ku zdumieniu podwładnych, bo skądże ich komendant mieć może — takie znajomości.

* * *

Na leśnictwie za chwilę spotykam się z żoną.

— No i co?

— No i nic!

— Jak ci się wiodło?

— Pysznie, ino brakło komfortu.

— A tobie?

— Wcale dobrze, tylko chciał mnie kozak koniecznie zastrzelić. Tam dalej leży.

Leżał nieborak z brzydko wykrzywioną gębą, bo kulę dostał w sam środek czaszki.

— Jakże to było?

— Gajowy przybiegł z wieścią, iż w lesie naszym są już austriackie wojska, a Moskali śladu nie pozostało, za Bug się wynieśli; wtedy towarzystwo całe i ci panowie z pod progów zebrało się w ogrodzie przed leśnictwem, gdy w ostatnim momencie wpadło trzech kozaków.

Rozpierzchli się mężczyźni w gąszcz leśny uchodząc, dwaj kozacy puścili się w pogoń za nimi, trzeci przy nas pozostał kobietach.

— Dwom z nas, żonie i siostrze leśniczego mężczyzn kazał z powrotem sprowadzić, a tobie — zagroził zwr-

cając się do mnie — jeśli oni nie wrócą w łeb strzelę na miejscu!

— I tak stałam przez lufą kwadrans, pół godziny, Bóg raczy wiedzieć, zdało mi się wieczność.

— No i co?

— Ryczałam ze strachu.

— Bardzo wierzę!

— Potem, Bóg łaskaw, strzał huknął nad uchem, sądziłam że do mnie, lecz czuję, że żyję, natomiast kozak koziołka wyrzucił, mnie zaś uprzejmie — leutnant powitał huzarów.

— A tamci?

— Są wszyscy, nie złapali nikogo.

* * *

Całą resztę naszego majątku ruchomego złożoną w słoiku Weka zakopaliśmy w ogrodzie. Było tego zwyż trzech tysięcy koron w walucie obu państw sobie wrogich.

Na razie spokój, Moskale nie strzelają, udajemy się przeto do komendanta batalionu z zapytaniem czy wolno udać się na folwark, by zobaczyć jak pięknie nas tam urządzono i skarb zakopany wykopać.

— Możecie państwo pójść ale proszę się pilnować, bo Moskale okopali się trzysta metrów za folwarkiem, po drugiej strony Bugu i łatwo nie wrócić.

Idziemy.

Na inspektach znalazł się ryskał, już pierwsze grudki ziemi odrzucam, gdy... bum... phjiii... pum... cyyy...

Bum — to strzał armatni,

phjiii — szrapnel leci,

pum — eksploduje,

cyyy — świstają odłamki

w podobnych to mniej więcej odbywa się tonach.

Sądziłem, że walą się mury domu dogorywającego.

— Na ziemię!

— Cóż za lichy?

— Szrapnele!

Rzucam się jak długi, w tej czynności przez żonę uprzedzony.

Bum... phjiii... pun... cyyy... z małemi przerwami, czasem dla rozrywki bek poważniejszy granatu, a kulki karabinowe latają jak osy.

Ładnieśmy wdepnęli!

Pal lichy słońk Weka, musimy uciekać, bo za strzałami gotowi powrócić Moskale.

Biegniemy rowem, to może bezpieczniej.

Bum... phjiii... każdym razem walimy się w rowie w tarniny, w pokrzywy, czasem w co innego, a płuca już tchu ostatkiem ledwie nadrabiają.

Byle dobież do lasu — do naszej fortecy! A blisko kilometr mieliśmy przed sobą.

Jakoś się dobiegło.

Mniej szczęścia miał chłop, który zmykał wraz z nami, został po drodze trafiony odłamkiem szrapnelu.

* * *

Gdy po godzinie strzały umilkły, po za chłopem zabitym nikomu nie wyrządzając szkody, — za krótko temperowane szrapnele eksplodowały na polach przed lasem, tam też i waliły granaty, — komendant batalionu kazał natychmiast wieś ewakuować.

Wszystko ma iść do Horpina.

Opuszczamy wierną fortecę i puszczaemy się, jedni z pierwszych, straciwszy na razie gust wszelaki do słońków Weka, w kierunku Horpina.

Mieliśmy ośm kilometrów drogi przed sobą.

Czem się bardziej do Horpina zbliżamy, tem bliższe... bum.... phjiii.... pum.... cyyy....

Bo my tu gdzieś znowu w szrapnele wdepniemy!

Skręcamy i na przełaj przez pola dostajemy się do Nowego Stawu.

Komenda Truppen-dywizyi, znajomy mi dzierżawca dóbr, znajdujemy gościnę w niedopalonym dworze, miednicę, bieliznę i ubranie czyste.

* * *

Stoik Weka!

Idę do ekscellencyi i dostaję pozwolenie jazdy do Tadania.

Towarzyszy mi adjutant na wehikule wojskowym.

Kilometer przed leśnictwem wysiadamy, dalejjechać nie można, bo zbyt niebezpiecznie, rowami pieszo dochodzimy na kraj lasu.

Okopy.... szwarmlinje.

Bum.... bzzz....

Pokazują mi okopy moskiewskie.

— Panie kapitanie, — mogę pójść na folwark?

— Przed nasze okopy? — Jeśli pan hazard lubi.

— Nie grywam, — lecz w każdym razie wolę już pokera.

Powracam z niczem.

* * *

Dwa dni korzystamy z gościny w Nowym stawie, potem gdyśmy się dowiedzieli, że o awansie mowy niema, bo nad Bugiem wojska zajmują pozycye obronne,

parą trzyletnich klaczek przez żonę wyrałowanych, a przechowanych w debrach leśnych przez gajowego (drugą parę Moskale znaleźli i zabrali), pożyczonym wozem, pożyczoną uprzężą, w pożyczonej bieliźnie, w pożyczonem ubraniu jedziemy do Lwowa.

Tu codziennie staram się zasięgnąć języka — słyszę zawsze to samo — biją się.

Słoił Weka!

Przepustkę mieliśmy od jenerała ważną i do powrotu, probujemy raz znowu do Tadania zajechać.

Bum... phjiii... tym jednak razem dość rzadkie, linja okopów dalej za folwarkiem, nad samym Bugiem, a karabiny milczą.

Z duszą na ramieniu wykopaliśmy Weka, żaden archeolog w Herkulanum nie był szczęśliwszy odemnie i wróciliśmy do Lwowa, gdzie pozostajemy z konieczności, rozmyślając co też dalej będzie.

* * *

Tak to in illo tempore bywało.

* * *

U Musiałowicza przy piwku siedzę sobie lwowskim, za towarzysza mam pana z kolei, nie znamy się wprawdzie, lecz jak przy piwku często bywa, rozmowę toczy my o wszystkim, o tem, o tamtem, o wojny przebiegu, o skutkach, przyczynach, o szkodach.

— Ja nad mojem narzekam, on nad własnem się żali nieszczęściem; najgorsza i najcięższa urzędnicza dola — oł panie!

— Po dziesięciu miesiącach powracam do Lwowa, zastaję w mieszkaniu nagie puste ściany — niema jak mieć ziemię!

— Pensyjka jednak płynie?

— Tak.

— Dyjetki się bierze?

— Tak.

— A stracił pan urządzenie pełnych trzech pokoi?

— I kuchni — panie!

— I kuchni — razem ze trzy tysiące koron.

— Najmniej cztery!

— Niech będzie cztery — to czyni połowę rocznego dochodu, — czy pan pozwoli, — że dla przeciwstawienia zestawię własny maleńki bilansik, będzie to obrazek w pełnem słońcu światła z tytułem — niema jak mieć ziemię — zestawimy te nasze nieszczęścia w zrównanie, a będzie także przykładzik niejaki, jak p. t. Moskale umieli ładować kieszenie.

Na obu mych folwarkach łaskawi byli zabrać, wstawiam dawne normalne ceny, dalekie od cen obecnych:

Około 120 sztuk bydła folwarcznego po		
300 K. sztuka	K.	36.000
28 kłaczy stadnych przeważnie z źrebiętami po 3.000 K.	K.	84.000
12 koni zaprzęgowych, wierzchowych, oficerom sprzedanych, młode kłacze do chowu przeznaczone po 2.000 K.	K.	24.000
40 źrebiąt w trzecim roku po K. 1.000	K.	40.000
30 źrebiąt w drugim roku po K. 700.	K.	21.000
40 źrebiąt rocznych po K. 500	K.	20.000
do przeniesienia	K.	225.000

	z przeniesienia	. K.	225.000
50 koni roboczych	po K. 300	K. 15.000
60 świń i prosiąt	po K. 50.	K. 3.000
			<hr/>
			K. 243.000

zabrali dalej, ponieważ zestawiam i bilans Moskali:

	około 100 sztuk bydła dzierżawcy dóbr Stojanów, który je do Tadania przypędził zapewne w miemaniu, że Tadanie jest eksterytoryalne	po K. 300	K.	30.000
	40 sztuk bydła handlarza z Kamionki z pastwiska wydzierżawionego	po K. 200	K.	8.000
					<hr/>
	łącznie około 520 sztuk koni i bydła wartości			K.	281.000

zabrali:

	zbiory z 140 morgów owsa po cm. z morga	po 20 K. za cm. wraz z słomą	K.	22.400
		z 50 morgów jęczmienia	K.	8.000
		około 4000 cm. siana i koniczyny po 5 K. za cm.	K.	20.000
	groch, pszenicę z kilkunastu morgów wartości		K.	2.000
		powozy, wozy, uprząż, siodła etc. etc.	K.	10.000
		łącznie przeto przeszło w ich ręczki ko-			<hr/>
	chane zrabowanego dobra mego i cudzego	za K.	343.400		

Wyřębali ponadto mnogą ilość drzewa na progi, sągi, słupy telegraficzne wartości na razie mniej znanej a hojnie zapłacili:

	za 10 krów rubli	750
	za siano rubli	136
	za sąg drzewa	8
			<hr/>

łącznie ośmset dziewięćdziesiąt cztery ruble . 894

W bilansik jeszcze wstawić należy niektóre dalsze drobnostki:

Zboża przez chłopów zarekwirowane.

Sześćdziesiąt morgów kartofli przez chłopów i żydów kamioneckich wykopanych.

Drzewa przez chłopów zrabowane.

Spalone dwa folwarki, zabudowane jak powiadają — na urząd -- więc

dom mieszkalny,

gorzelnia,

młyn parowy,

stajnia,

gumna,

wozownie i inne budynki mieszkalne i gospodarskie.

Zniszczone i zrabowane urządzenie dworu.

Popalone, częściowo zrabowane wszystkie maszyny i narzędzia rolnicze.

Przez szanice poniszczone systemy dren.

Przez obozy poniszczone doszczętnie pyszne pastwiska i część łąk.

Straty w wydatkach na zakupno nasion i administrację w roku bieżącym, które przepadły bezpowrotnie, bo w ogniu armatnim nikt zbiorów nie robił.

Straty w koniecznym ubytku w dochodach w roku przyszłym z powodu niewykonania zasiewów, w latach późniejszych przez wyjałowienie, zachwaszczenie i nie nawożenie roli.

Wycięcie drzewostanów na mosty, na szopy, których jak słyszę mnogo w mym lesie postawiono, a każda sto metrów długa.

Drzewa zużyte w ciągu dwumiesięcznej walki pozytywnej nad Bugiem.

Zrębanie zapustów na faszyny do naprawy dróg, do szaniców i na koły do ogrodzeń drucianych.

Zniszczone części kultur lasowych przez obozy, wozy i konie, i t. d. i t. d. litania bez końca.

— Niema to jednak jak mieć ziemię, — zdania takie słyhać aż zbyt często!

Co prawda ziemia została, nie zabrat jej Moskal, jak to jednak zaczynać ab ovo?

Choćby i konia i krowę zakupić — gdzie postawić, czem karmić, czem ścielić, jak siać bez pług, brony i nasienia, bez ziarnka zboża na ordynaryę dla parobka.

* * *

Może jednak za czarno świat mi się wydaje, wszak już dwie mamy uchwały, które nas na nogi postawić winne: pierwsza — należy przestrzegać aby odbudowę dokonywano „w stylu“, druga — dwadzieścia pięć koron premji od „zasianego“ hektara.

Styl wart jest premji — premja warta stylu — jedno i drugie pomnika.

Lwów, wrzesień 1915.

KONIEC.

BIBLIOTERA
UMCS
LUBLIN

